

**LAURA MaCDONALD**

**Walka o życie**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

To już Afryka! Toni Nash stanęła na płycie lotniska w Nairobi i poczuła się tak, jakby wstąpiła do gigantycznego pieca. Wraz ze współpasażerami minęła uzbrojonych strażników strzegących głównego terminalu, odebrała bagaże i przeszła przez kontrolę celną. Szybko znalazła autobus, który miał ją zawieźć do hotelu Jacaranda.

W środku było jeszcze bardziej gorąco niż na dworze. W przeciwieństwie do odrzutowca British Airways, w autobusie brakowało klimatyzacji. Już po kilku minutach Toni czuła, jak bawełniana sukienka klei się jej do pleców. Był już październik, późne popołudnie, ale pogoda w najmniejszym stopniu nie kojarzyła się Toni z jesienią. Autobus, zgrzytając biegami i piszcząc oponami, pokonywał zakurzone ulice miasta.

Między domami czuło się parne, gorące powietrze. Wokół widać było konkurujące ze sobą obrazy bogactwa i nędzy. Wzdłuż wysadzanych drzewami alei wznosiły się nowoczesne budynki z marmuru, szkła i betonu, ale na każdym rogu gromadzili się żebracy, a za eleganckimi fasadami Toni dostrzegła nędzne uliczki i przypominające slumsy zabudowania. Sama nie wiedziała, czego się właściwie spodziewała, ale nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Autobus zatrzymał się przed hotelem; uśmiechnięty Murzyn w zielono-złotej liberii portiera przecisnął się przez tłum, aby pomóc wysiąść pasażerom. Kilku chłopców zaczęło kłótnię, kto poniesie bagaże.

Wygląd hotelu pasował do nazwy: długi, niski, biały budynek otaczały drzewa jacaranda i palmy. Jaskrawe, kolorowe kwiaty wypełniały powietrze słodką, nieco mdłąwonią. Weszli po schodkach przykrytych dywanem dopasowanym kolorami do liberii portiera i znaleźli się w chłodnym, przestronnym, słabo oświetlonym holu.

Toni zarejestrowała się w recepcji, ale gdy młoda Kenijka podała jej klucze, na chwilę się zatrzymała.

- Mogłaby mi pani powiedzieć, czy doktor Jack Christy jest w hotelu? - spytała.

Dziewczyna spojrzała na tablicę z kluczami i kiwnęła głową.

- Tak - odpowiedziała, pochylając się nad kontuarem.

- Wydaje mi się, że jest teraz w barze.

Toni już chciała nadmienić, że wprawdzie pójdzie do swojego pokoju, aby odświeżyć się przed spotkaniem z nowym szefem, ale ciekawość wzięła górę. Obejrzała się przez ramię, kierując się spojrzeniem recepcjonistki. Poprzez arkadę kończącą hol widać było wewnątrz hotelowego baru. Przy ladzie stała jakaś para.

Mężczyzna był ubrany w typowy strój na safari: płócienne spodnie i jasną koszulę. Był wysoki, miał długie, mocno umięśnione ręce i nogi. Po wyglądzie jego twarzy można było łatwo odgadnąć, że spędził wiele lat na świeżym powietrzu w afrykańskim upale. Miał jasne, zaczesane do tyłu włosy. Gdy odwrócił się w stronę Toni, dostrzegła, że ma ostre rysy, wąski, wydatny nos, zdecydowanie zarysowaną szczękę i usta o aroganckim wyrazie. Spojrzał na nią, tak jakby wyczuł jej badawczy wzrok. Miał szare oczy, przypominające angielskie niebo zimą. Toni odniosła wrażenie, że patrzy na nią jakiś drapieżny ptak, ale jednocześnie intuicja podpowiedziała jej, że to właśnie mężczyzna, którego szuka.

- Zaraz pójde do siebie - rzuciła recepcjonistce.

Zostawiła bagaże i skierowała się do baru.

Kobieta stojąca obok doktora Christy'ego trzymała go za ramię, tak jakby chciała podkreślić swoje prawo własności. Była wysoka, dobrze zbudowaną brunetką; oliwkowy, prosty strój na safari znakomicie pasował do jej ciemnej, egzotycznej urody.

Podchodząc do tej pary, Toni poczuła się nagle mała, blada i nieważna. Zaciśnęła zęby i zmusiła się do wykonania jeszcze kilku kroków. Nie miała wyjścia, musiała się przedstawić.

- Doktor Christy? - spytała, zatrzymując się przy barze.

Mężczyzna już odwracał się w stronę kontuaru, ale słysząc swoje nazwisko, znów popatrzył na Toni. Kiwnął głową i zmierzył ją wzrokiem.

- Dzień dobry - powiedziała, podając mu rękę. Zauważyła, że ciemnowłosa kobieta spogląda na nią niechętnie, tak jakby dostrzegła coś niewłaściwego w jej zachowaniu.  
- Jestem Toni Nash, pańska nowa asystentka.

Zapadła cisza. Na twardej twarzy doktora Christy'ego pojawił się wyraz zdziwienia, który szybko ustąpił miejsca irytacji.

- To pani jest doktorem Nash?!

To pytanie zabrzmiało jak oskarżenie. Toni z przykrością odnotowała, że w zachowaniu szefa nie ma ani śladu ciepła i uprzejmości.

- Tak. Właśnie przyjechałam...

- Pani nazywa się Toni Nash? - przerwał jej mężczyzna.

- Tak.

- A co to za idiotyczne imię dla kobiety? Dlaczego nazywa się pani Toni?

- Naprawdę mam na imię Antoinette - odpowiedziała, zaskoczona jego ostrym tonem. Chwyciła głęboki oddech,

żeby się uspokoić. - To trochę za długie, więc wszyscy mówią na mnie Toni.

- Spodziewałem się, że asystentem będzie mężczyzna - warknął Christy.

- Wygląda na to, że znów wpadłeś', Jack - mruknęła brunetka, unosząc pięknie wymanikiowaną dłoń i zasłaniając nią uśmiech.

- Zapewniam pana, że jestem równie wykwalifikowana, jak każdy lekarz mężczyzna - odpowiedziała z oburzeniem Toni. - Mam również doświadczenie w...

- Nie mam co do tego wątpliwości - nie pozwolił jej dokończyć, podnosząc kieliszek i jednym haustem opróżniając go do dna. - Wszystkie tak mówią - dodał, odstawiając puste naczynie.

- Jakie wszystkie? - zdziwiła się Toni.

- Inne kobiety, jakie już mi tu przysyłali - wyjaśnił, nie patrząc na nią. Z zainteresowaniem obejrzał dno kieliszka.

- Chce pan powiedzieć...?

- Och, tak - odrzekł, spoglądając na nią przez ramię.

- Były tu już co najmniej trzy kobiety. Wszystkie wysoko wykwalifikowane, doświadczone i pełne entuzjazmu - dodał z sarkazmem.

- Więc o co chodzi? - Toni była zupełnie zdezorientowana. - Nie rozumiem.

- Żadna z nich nie miała dość sił, aby wytrzymać życie w buszu w Tanzanii przez dłuższy czas. - Christy oparł się plecami o bar i zmierzył Toni zimnym wzrokiem, rejestrując jej kruchą budowę, delikatne rysy i krótkie włosy blond, uczesane na jeża. - Nie wyobrażam sobie, żeby z panią było inaczej.

- A zatem będą musiała tego dowieść, prawda? - odpowiedziała z przekąsem, zerkając na przemian to na niego, to na towarzyszącą mu kobietę. Mówiła spokojnie, choć

zachowanie doktora Christy'ego wzbudzało w niej gniew. Z niechęcią myślała o perspektywie pracy u jego boku.

- Ha! Daję pani miesiąc, nie więcej! - Christy machnął niecierpliwie ręką i odwrócił się twarzą do baru.

Toni przez chwilę z wściekłością wpatrywała się w jego plecy, po czym otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale gdy dostrzegła na twarzy jego towarzyszkii lekki, pogardliwy uśmiech, zmieniła zamiar. Obróciła się na pięcie i skierowała do recepcji.

Słyszając pukanie, Toni odwróciła się od szafy i szybko podeszła do drzwi.

- Kto tam? - spytała ostrożnie. Wołała wiedzieć, komu otwiera.

- Hilary Moss... jestem z grupy Fundacji Wodnej Pomocy. Jeśli się nie mylę, będziemy razem jechać do Tanzanii.

Toni otworzyła drzwi. Przed nią stała mocno zbudowana kobieta około trzydziestki.

- Doktor Nash, jak sądzę? - powiedziała Moss, uśmiechając się szeroko.

- Wystarczy Toni, bardzo proszę - odrzekła, podając jej rękę. Poczowała mocny, zdecydowany uścisk ręki Hilary.

- Proszę do środka.

Cofnęła się, aby wpuścić nową znajomą.

- Kiedy przyjechałaś? - spytała Hilary, przysiadając na brzegu łóżka. Rozejrzała się po pokoju i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: - Masz znacznie większy pokój niż my. Mieszkam z Ruth Galloway, również z naszego zespołu - wyjaśniła.

- Przyleciałam dziś po południu - poinformowała ją Toni.

- My dotarliśmy wczoraj - oznajmiła Hilary. - Przynajmniej niektórzy z nas zwiedzali dziś Nairobi. Ruth zaraz

po przyjeździe położyła się do łóżka i jeszcze nie wstała - dodała z ironicznym uśmiechem. - Jest nas czworo. Ruth, ja i dwóch mężczyzn: ekolog Paul Davis oraz inżynier od melioracji, Henry Bowyer. - Hilary przerwała i zerknęła na Toni, która przysiadła na bambusowej otomanie. - Domyślam się, że jesteś wolontariuszką i masz pracować z doktorem Christym. Poznałaś go już?

Słyszając nazwisko szefa, Toni nie zdołała opanować grymasu niechęci.

- Widzę, że tak - zachichotała Hilary. - Niezły typ, prawda? Z tą opalenizną i wypłowiałymi włosami przypomina mi białych myśliwych z opowieści o safari. Na swój sposób przystojny, choć dość prymitywny...

- Jeśli ktoś lubi ten styl... - prychnęła Toni.

- Jak widzę, ty go nie lubisz. - Hilary znów się uśmiechnęła, ale zaraz spoważniała. Przyjrzała się uważnie Toni. - Jesteś mężatką?

- Na litość boską, nie! Gdybym była, raczej nie mogłabym nagle zniknąć w buszu Tanzanii.

- Och, nie wiem... ludzie robią różne rzeczy...

- Nie ma chyba zbyt wielu małżonków gotowych tolerować takie eskapady. - Toni zaśmiała się krótko.

- A co z piękną Shakirą? Czy ją też już poznałaś? Jak mi się zdaje, ona pogodziła się z długimi okresami nieobecności doktora Christy'ego. Wyobrażam sobie, jak gorące są ich spotkania po długim rozstaniu.

- Oni są małżeństwem? - Toni poderwała głowę. Przypomniała sobie obraz ciemnowłosej kobiety, trzymającej dłoń z polakierowanymi na czerwono paznokciami na ramieniu Christy'ego.

- Niemal. - Hilary wzruszyła ramionami. - O ile wiem, są zaręczeni. Tak przynajmniej powiedział Paulowi barman. Co myślisz o współpracy z Jackiem Christym?

- Nie wiem... Bardzo się z tego cieszyłam. Słyszałam

wiele opowieści o jego pracy w buszu, ale teraz... - Toni urwała, nie kończąc zdania.

- Teraz, gdy go poznałaś, nie jesteś już tego pewna, tak?

- Chyba tak. Spodziewałam się czegoś innego, a on również niezbyt ucieszył się na mój widok.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Hilary zmarszczyła brwi. - Czyżby nie spodziewał się twego przyjazdu?

- Tak... to znaczy nie... - Toni zaśmiała się na widok zdumionej miny Hilary. - Chciałam powiedzieć, że on spodziewał się kogoś, ale sądził, że będzie to mężczyzna.

- Mężczyzna...?

- Tak, Toni...

- Och, rozumiem! - Hilary wybuchnęła śmiechem. - To musiała być dla niego niezła niespodzianka!

- Był bardzo nieuprzejmy, i to tylko dlatego, że jestem kobietą. Mam wrażenie, że miał już dość asystentek. Chyba żadna nie podołała zadaniu.

- Mam nadzieję, że osadziłaś go na miejscu! - wykrzyknęła z oburzeniem Hilary.

- Oczywiście. Mam zamiar pokazać mu, jak bardzo się myli.

- Doskonale. Cieszę się, że tak mówisz. - Hilary wstała z łóżka. - Przyszłam właściwie po to, aby cię spytać, czy miałabyś ochotę wybrać się na spacer po Nairobi. Przed zmrokiem jeszcze zdążymy coś zobaczyć. Ostrzegano nas, że nie powinniśmy chodzić pojedynczo i w żadnym wypadku nie po nocy.

- Z przyjemnością, jeśli możesz poczekać pół godziny. Chcę wziąć prysznic i się przebrać.

- Oczywiście. Aha, ostrzegano nas również, abyśmy nie nosiły biżuterii, zwłaszcza ze złota.

- W porządku - uśmiechnęła się Toni. - Nie mam jej wiele.

- Wieczorem mamy się spotkać w barze z doktorem



Christym. Chce nas zapoznać ze szczegółowym planem podróży.

- Czy to znaczy, że będziemy podróżować razem?  
- spytała Toni z wahaniem. - Czy jedziecie do Jabhati?

- Tak, to nasza pierwsza baza w Tanzanii. Później jedziemy dalej, do następnych osad w buszu. Mamy sprawdzić wszystkie punkty, w których fundacja wywierciła studnie głębinowe.

- Muszę przyznać, że bardzo się cieszę z twojego towarzystwa.

Hilary pomachała jej ręką i wyszła z pokoju. Nastrój Toni uległ wyraźnej poprawie. To była jej pierwsza wizyta w Afryce. Od dzieciństwa marzyła, aby zwiedzić ten kontynent. Pomyślała, że nie może pozwolić, aby doktor Christy zepsuł jej wszystko. Hilary uznała, że jest on przystojny. Uczciwie mówiąc, Toni musiała się z tym zgodzić. Nie powiedziała natomiast nowej znajomej, że obecnie ma całkowicie dość mężczyzn.

Biorąc prysznic, Toni wróciła myślami do Martina Fostera.

Kiedyś sądziła, że jej przyszłość jest już jasno określona: spokojna kariera zawodowa, małżeństwo z Martinem, kilkoro dzieci. Później wszystko się popsuło. Zerwała z Martinem, co w pierwszej chwili sprawiło jej ogromny ból. Po jakimś czasie jednak uznała, że pewnie nigdy go nieochała.

Tak - myślała Toni, podstawiając twarz pod strumień zimnej wody z prysznic - jak na razie mężczyźni mnie nie interesują. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, Jack Christy byłby ostatnim, na którym zatrzymałaby spojrzenie. Dobrze pamiętała jego lekceważące, aroganckie zachowanie. Prócz tego Hilary powiedziała przecież, że on i ta egzotyczna piękność są właściwie małżeństwem. Zgodnie z uznawanymi przez Toni regułami postępowania,

to całkowicie eliminowało Christy'ego z kręgu jej zainteresowań.

Wieczorem wszyscy spotkali się na tarasie baru w hotelu. Siedząc pod trzcinowym dachem w bambusowych fotelach, popijali whisky i czekali na Jacka Christy'ego.

Hilary Moss przedstawiła Toni pozostałym członkom zespołu. Paul Davis był wysokim, poważnie wyglądającym młodym człowiekiem z drucianymi okularami na nosie. Henry Bowyer, kościsty mężczyzna koło sześćdziesiątki, najwyraźniej źle znosił gorąco, bo już teraz bez przerwy wycierał kark i czoło wielką białą chusteczką. Ruth Gallo-way zapewne również dobiegała sześćdziesiątki; wyglądała tak, jak Toni mogła ją sobie wyobrazić na podstawie opisu Hilary.

Chcąc podtrzymać rozmowę, Toni spytała, czy ktoś z całej grupy był już kiedyś w Afryce. Wszyscy pokręcili głowami. Hilary napomknęła, że pracowała jakiś czas w Kambodży, a Henry wspomniał, że dwadzieścia sześć lat temu spędził miesiąc miodowy w Maroku.

- Nie mogę powiedzieć, abym była zadowolona z jedzenia - oświadczyła Ruth, wykręcając się na krześle tak, aby spojrzeć w kierunku jadalni.

- Dlaczego? Co się pani nie podoba? - zdziwiła się Toni.

- No cóż, spodziewaliśmy się czegoś innego, prawda, Hilary? - Ruth zerknęła na Hilary Moss, która odpowiedziała wymuszonym uśmiechem.

- Bo ja wiem, Ruth... Właściwie spodziewałam się dokładnie czegoś takiego. Ryba i frytki były takie jak w domu. Nie przejmuj się. Jak będziemy w buszu, dostaniesz pewnie do jedzenia coś takiego, o czym myślałaś.

Ruth wstrząsnęła się z obrzydzenia. Toni miała ochotę spytać ją, dlaczego zdecydowała się na tę wyprawę, ale

ugryzła się w język. Paul Davis pochylił się nad stołem, zaciskając dłonie między kolanami.

- Czy może przypadkiem wie pani, jak będziemy jutro podróżować? - spytał.

- Właściwie to nie - odrzekła powoli Toni. - Wyobrażam sobie, że mikrobusem. Sądząc po tym, co widziałyśmy w Nairobi, to chyba tutejszy najpopularniejszy środek lokomocji, nie sądzisz, Hilary?

- Chyba tak - kiwnęła głową koleżanka. - W ten sposób na pewno zobaczymy wiele zwierząt - zwróciła się do Paula. - Paul jest ekologiem. Nie może się doczekać, kiedy zobaczy pierwszego lwa w naturalnym środowisku - wyjaśniła Toni.

- Mam nadzieję, że podróż będzie wygodna - wtrąciła Ruth. - Ostatnim razem jechałam autobusem na tak długiej trasie do Szkocji. Następnego dnia fatalnie bolały mnie plecy.

- Tym razem może się pani nie obawiać, pani Galloway - rozległ się nagle głos dobiegający z dołu. Poniżej, w ogrodzie, było zupełnie ciemno. Wszyscy podskoczyli na krzesłach i obrócili się w kierunku schodów. Z ciemności wyłonił się Jack Christy.

- Och, doktor Christy! - pisnęła Ruth. - Nie wiedziałam, że pan tam stoi.

Paul Davis wstał i podsunął doktorowi krzesło. Gdy Christy siadał, przez chwilę zatrzymał wzrok na Toni. Odniosła wrażenie, że od paru minut musiał stać w ukryciu i przysłuchiwać się ich rozmowie.

Henry Bowyer poszedł do baru zamówić coś do picia dla doktora. Toni rozejrzała się wokół. Nigdzie nie było widać Shakiry.

W przeciwieństwie do Henry'ego - który miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzem - oraz Paula, ubranego w szorty i podkoszulek, Christy wyglądał tak, jakby wy-

bierał się na przyjęcie. Biały garnitur kontrastował z jego opalenizną. Nawet oczy, przedtem szare i jasne, teraz wydawały się niemal czarne. Rozszerzone źrenice prawie całkowicie wypełniały tęczówki.

Instykt podpowiadał Toni, że natychmiast po tym spotkaniu informacyjnym Christy uda się na kolację z Shakirą, która pewnie właśnie kończy toaletę.

Z boku ktoś się poruszył. Toni obejrzała się przez ramię. To Hilary zmieniła pozycję. Patrzyła na doktora z tak jawnym zachwytem, że Toni musiała przygryźć wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

- Co pan chce przez to powiedzieć, doktorze? - spytała Ruth, pochylając się do przodu i wachlując kartą. - Czy to znaczy, że mogę się nie obawiać żadnych niewygód?

- Dokładnie to, co powiedziałem - odrzekł Christy z szerokim uśmiechem. Ruth opuściła wzrok. Toni zaczęła się zastanawiać, czy Christy tylko do niej odnosi się tak nieuprzejmie. - Nie będziemy jechać autobusem... - u-rwał i przyjął od Henry'ego szklanekę. - Dziękuję... - Kiwnął głową i wypił duży łyk. Wszyscy patrzyli na niego, oczekując bliższych wyjaśnień.

- Nie? - zdziwił się Henry. Usiadł na krześle i znów wytarł chustką czoło. - Jak zatem tam dotrzemy?

- Ktoś nas podwiezie - odpowiedział Christy. - Jeden z moich przyjaciół prowadzi firmę lotniczą. Jutro leci samolot do Harare w Zimbabwe po jakichś dygnitarzy. Ponieważ mam do zabrania do Jabhati transport lekarstw, to zgodził się nas podrzucić.

- Jest bardzo uprzejmy - zauważył Henry.

- Czy ma wygodne samoloty? - spytała podejrzliwie Ruth.

- Bardzo wygodne - uroczyście zapewnił ją Christy. - Lutas Charter Flights zapewniają luksusowe warunki podróży.

Rozmawiali jeszcze jakieś pół godziny. Pod wpływem koktajlu, zapachu kwitnących krzewów i spokojnej rozmowy Toni wyraźnie się rozluźniła. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie pomyliła się w ocenie Christy'ego. Z pewnością bez trudu oczarował Ruth i Hilary... nawet mężczyźni uważnie słuchali jego każdego słowa. Może będzie lepiej, niż myślała...

Christy nagle wstał od stołu i spojrzał na nią.

- Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Zapadła cisza. Toni dopiła koktajl, wstała z fotela i razem zeszli do ogrodu. Minęli basen. Szli alejką wysadzaną palmami. Słysząc było tylko granie świerszczy i szum miasta.

Otuliła ich ciemna, afrykańska noc. Toni czuła przyspieszone bicie serca. Jak dotychczas, Christy traktował ją bardzo nieuprzejmie. Nie miała pojęcia, co teraz przyszło mu do głowy.

- Czy byłeś już przedtem w Afryce? - spytał krótko, przechodząc na ty.

- Nie.

- Skąd zatem ten pomysł? Dlaczego Afryka?

- Zawsze chciałam zobaczyć Afrykę. Miałam też dość pracy w szpitalu...

- Jeśli sądzisz, że będziesz tu miała mniej roboty, to bardzo się mylisz.

- Niczego się nie spodziewam - odparła natychmiast Toni. - Wiem, że czeka mnie ciężka praca. - Przerwała na chwilę. Nieprzyjemne zachowanie Christy'ego znów ją zirytowało. - Wiem, że nie jest pan zadowolony z mojego przyjazdu, bo spodziewał się pan kogoś innego. Nie mogę nic na to poradzić. Jestem tu i już. Przyjechałam by pracować i zamierzam to robić.

- Pracy ci nie zabraknie - oświadczył zimno Christy.

- Możesz być spokojna.

Zapadła cisza. Szli ścieżką oświetloną ukrytymi w krzakach kolorowymi lampami.

- Co wiesz o stacji w Jabhati? - zapytał nagle.

- Niewiele - przyznała Toni. - Wiem, że znajduje się na południe od Dodomy, w samym sercu dżungli Tanzanii. Słyszałam, że ludzie ze wsi odległych o wiele kilometrów przychodzą do stacji, szukając pomocy lekarza. Podobno brakuje wody, jedzenia, a gdy są kiepskie zbiory...

- Nikt ci zatem nie powiedział o muchach - przerwał jej Christy ostrym tonem. - O gorącu, braku odpowiednich warunków sanitarnych, ciągłej biegunce i niechętnym nastawieniu do zachodniej medycyny. Czy mam kontynuować?

- Nie musi pan - odparła. - Umiem czytać i czasami oglądam telewizję. Dobrze wiem, jakie czekają mnie warunki.

- Och, widzę, że już wszystko wiesz - rzucił sarkastycznie. - To wspaniale... Nie musimy zatem niczego się obawiać. Nie grozi nam, że powtórzy się taka historia jak z poprzednią ochotniczką.

Toni przełknęła ślinę i nic nie odpowiedziała. Mimo ciemności czuła na sobie badawcze spojrzenie Christy'ego.

- Nie mogła znieść nieustannych bólów brzucha - wyjaśnił. - Nie mogła przyzwyczać się do jedzenia. Może zresztą to była kwestia wody. Wtedy jeszcze nie mieliśmy studni głębinowej. Ale następna, która tu była już po wywierceniu studni, też długo nie wytrzymała. Trzeba ją było odesłać do Londynu. Dostała zapalenia trzustki. Przedtem jeszcze przestraszyła się skorpioną.

- Niech się panu nie zdaje, że zniechęci mnie pan tymi opowieściami - oznajmiła lodowato Toni. - Jak powiedziałam, podjęłam się pewnej pracy i zamierzam ją wykonać.

- Doskonale. Lepiej tylko, żebyś nie ulegała żadnym

iluzjom. Niektóre kobiety mają zupełnie błędne wyobrażenie o Afryce. Wydaje im się, że tu czekają je wspaniałe, romantyczne przygody...

- Nie należę do takich kobiet, doktorze. Nie mam żadnych takich iluzji.

Christy nic nie odpowiedział. Najwyraźniej nie udało się jej go przekonać. Toni zastanawiała się, jak do tego wszystkiego pasuje piękna Shakira. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, aby taka kobieta chciała znosić trudy życia w odległej stacji w buszu. A może Christy miał ją na myśli, gdy mówił o fałszywych wyobrażeniach kobiet na temat Afryki?

- Chciałbym wyruszyć jutro wcześniej rano - oświadczył nagle. Najwyraźniej zamierzał skończyć tę rozmowę.

- Proszę bardzo. To dla mnie żaden problem, zawsze wstaję wcześniej.

- Mam nadzieję, że reszta również nie będzie miała nic przeciwko temu - mruknął z powątpiewaniem.

- Hilary Moss powiedziała mi, że oni wpiery jadą do Jabhati, a później wracają do Dodomy.

- To prawda. To przedstawiciele różnych organizacji wspierających Fundację Wodnej Pomocy. Sprawdzają studnie głębinowe i badają, jaki wywarły wpływ na nasze życie w dżungli.

Gdy Christy mówił o swej stacji, w jego głosie porzmięwała duma.

- Czy to znaczy, że przyjechał pan do Nairobi tylko po to, aby ich przywitać? - zainteresowała się Toni.

- Dlaczego pytasz?

- No cóż, jestem pewna, że nie przyjechał pan tu, aby mi towarzyszyć.

- Masz rację - przyznał chłodno. Zawrócili i skierowali się w stronę światła hotelu. - Przyjechałem tutaj, bo byłem na urlopie nad jeziorem Wiktorii. Londyńskie biuro

poinformowało mnie o przyjeździe grupy z fundacji i twoim. Uznałem, że będzie najlepiej, jeśli się tutaj spotkamy i razem pojedziemy do Jabhati.

Teraz Toni wiedziała już, co sprowadziło go do Nairobi. Zastanawiała się nad tym od chwili, gdy w Londynie powiedziano jej, że ma go spotkać w hotelu Jacaranda.

Gdy wchodzili po schodach na werandę, Toni nagle wyobraziła sobie Christy'ego z Shakirą w jakimś luksusowym hotelu nad jeziorem. Z niejasnych powodów ta myśl mocno ją zirytowała.

Na tarasie nie było już nikogo. Jack Christy rozejrzał się wokół.

- Wygląda na to, że twoi kompani poszli już na kolację - zauważył. - Czy chciałabyś, abym cię odprowadził?

- To nie jest konieczne, dziękuję - odrzekła Toni. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała. Christy zmarszczył czoło. - Jestem pewna, że ma pan co innego do zrobienia. Chyba że chciał pan zjeść z nami kolację - dodała, obrzucając krótkim spojrzeniem jego wieczorowy strój.

- Nie, mam inne plany - odpowiedział spokojnie, nie zwracając uwagi na jej nieco ironiczny ton.

- Tak myślałam - rzuciła Toni. - Dobranoc, doktorze Christy.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Przyglądał się jej niebieskiej, letniej sukience. Toni już miała się odwrócić i odejść, ale w tym momencie, ku jej zdumieniu, Christy uniósł rękę i dotknął palcem ramiączka sukienki. Zamarła. Zupełnie nie wiedziała, do czego on zmierza.

- Jutro lepiej włóż coś innego - powiedział.

- Co takiego?! - Zmierzyła go gniewnym wzrokiem. Zirytowała ją jego bezczelność. Teraz czuła jego palec na nagim ramieniu.

- Powiedziałem, żebyś jutro włożyła coś innego - powtórzył powoli Christy. Mówił wyraźnie, jak do dziecka.



- Inaczej dostaniesz udaru słonecznego. Ubierz się jakoś rozsądnie.

Po tych słowach obrócił się na pięcie i zbiegł po schodach. Po sekundzie zniknął w ciemnościach.

Toni bezradnie patrzyła za nim. Nie zdążyła odpowiedzieć na jego sugestię, że mogłaby zachowywać się nierozsądnie. Poczowała wzbierający gniew.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Tej nocy Toni źle spała. Wczesnie rano wstała, spakowała się i zeszła do holu, gdzie mieli się wszyscy spotkać. Po wczorajszej rozmowie z Jackiem Christym z jeszcze większą niechęcią myślała o czekającej ją pracy. Nie chodziło jej przy tym o sam wyjazd do szpitala w dżungli; jej niechęć nie była związana z charakterem zadań i warunkami, w jakich miała żyć.

Niewątpliwie od pierwszej chwili nie przypadliśmy sobie do gustu, pomyślała z irytacją. W istocie Jack Christy w najmniejszym stopniu nie usiłował ukryć faktu, iż nie chce, aby pracowała z nim w szpitalu. Następnie zrobił wszystko, co leżało w jego mocy, aby zniechęcić ją do wyjazdu.

Toni zacisnęła zęby. To było zupełnie wykluczone. Nie zamierzała rezygnować. Co więcej, postanowiła sobie, że nie tylko podoła pracy, ale jeszcze wykaże Szanownemu Panu Doktorowi, iż potrafi wykonać swoje obowiązki równie dobrze, jeśli nie lepiej, jak jakiś mężczyzna, którego mogło tu przysłać stowarzyszenie organizujące ochotniczą służbę medyczną.

- Doprawdy nie rozumiem, dlaczego musimy wyjeżdżać tak wczesnie rano.

Pełna niezadowolenia uwaga przerwała Toni dalsze rozmyślenia. Uniosła wzrok. Jak mogła się domyślać, to Ruth Galloway właśnie pojawiła się w holu, ciągnąc swe bagaże.

- Nawet nie mogłam znaleźć tragarza. Tych chłopaków

nigdy nie ma, gdy są naprawdę potrzebni. Jestem pewna, że zaczną mnie boleć plecy, nim jeszcze wyruszymy.

- Chwileczkę, Ruth, zaraz ci pomogę. - Toni zerwała się z fotela i uwolniła ją od dwóch toreb. Po chwili Ruth z westchnieniem opadła na sofę.

- Jak już powiedziałam, nie rozumiem, dlaczego musieliśmy wstać o tak bezbożnej porze - rzekła, rozglądając się wokół.

- Przypuszczam, że doktor Christy chce jak najszybciej wrócić do szpitala - odparła Toni.

- Ha! Po tym, co widziałam, trudno mi w to uwierzyć - prychnęła Ruth.

- Co masz na myśli? - Toni zmarszczyła brwi.

- Przez ostatnie dziesięć minut czule żegnał się z tą swoją narzeczoną...

- Jesteś pewna?

- W zupełności.

- No cóż. - Toni wzruszyła ramionami. - To jego sprawa.

- Przynajmniej nie będziemy musieli już tego dłużej znosić - skrzywiła się Ruth.

- Dlaczego?

- Wsadził ją do taksówki.

- Do taksówki?

- Tak, do taksówki. Czy muszę wszystko powtarzać dwa razy?

- Przepraszam. Zaskoczyłaś mnie. Przypuszczałam, że jego narzeczoną pojedzie z nami do Jabhati.

- Sądząc po tym długim pożegnaniu, którego byłam świadkiem, to chyba wykluczone. Zresztą, czy możesz sobie wyobrazić tę zepsutą kobietę znośną cierpliwie warunki, jakie panują w dżungli?

- Hm, chyba nie, ale sądziłam, że chciałyby być razem z narzeczoną... - Toni urwała, bo w tej chwili w holu

pojawił się Jack Christy. Patrzył na nie tak, jakby wiedział, że o nim rozmawiały.

- Och, doktorze Christy - zaczęła niczym nie zrażona Ruth. - Właśnie mówiłyśmy, że pewnie spieszy się pan do swojej trzódki.

- Mojej trzódki? - Christy zmarszczył brwi. Dwie białe linie odchodzące od oczu zniknęły w opaleniznie.

- Tak, w tym pana szpitalu w dżungli.

- Ma pani na myśli moich pacjentów?

- Co? No, tak. - Ruth wzruszyła ramionami. Spojrzała w kierunku korytarza. - Oto pozostali.

Toni odwróciła głowę. Widok Henry'ego, Paula i Hilary sprawił jej ogromną ulgę. Miała nadzieję, że ich nadejście odwróci uwagę niezbyt taktownej Ruth od Christy'ego, który po pożegnaniu narzeczonej najwyraźniej nie był w dobrym humorze.

- Jesteśmy już wszyscy? - Christy rozejrzał się wokół, po czym przywołał gestem kilku bagażowych. - Autobus już przyjechał. Jedziemy na lotnisko polowe.

- Lotnisko polowe? - Henry Bowyer zsunął kapelusz do tyłu i zmarszczył czoło. - Sądziłem, że wystartujemy z głównego lotniska w Nairobi.

- Nie tym razem - odrzekł Christy. - Lutas Charter Flights mają własne lotnisko.

Ruth zrobiła taką minę, że Hilary zaczęła chichotać.

- Mogę się założyć, że to nie przypadło jej do gustu - szepnęła do Toni. - Z pewnością spodziewała się stewardesy roznoszącej dżin z tonikiem i cytryną.

Po chwili znaleźli się w mikrobusie. Toni i Hilary usiadły obok siebie.

- Nie rozumiem - szepnęła Toni, upewniwszy się wpierw, że Ruth nie może jej usłyszeć - dlaczego ona wybrała się w tę podróż? Przecież to oczywiste, że nie nadaje się do tego.

- Też tak myślę - mruknęła Hilary. - W normalnych okolicznościach nigdy by się na to nie zdecydowała, ale tym razem nie mogła ustąpić.

- Nie rozumiem. - Toni spojrzała na Hilary z zaciekawieniem i rozbawieniem.

- O ile wiem, Ruth jest prezydentką międzynarodowej organizacji kobiet, wspierającej Fundację Wodnej Pomocy. Ktoś delikatnie zaproponował jej, aby tym razem pojechała na inspekcję jej zastępczyni, o dziesięć lat młodsza i w znacznie lepszej formie, ale Ruth nie zamierzała się poddawać.

- To niesamowite - zachichotała Toni. - Mam nadzieję, że nie będzie tego żałować. Jak rozumiem, piękna Shakira już się wycofała.

- Shakira? - powtórzyła Hilary, wygrzebując z torby dwie puszkę coca-coli. Jedną podała Toni.

- Dzięki. - Toni otworzyła puszkę. - Tak, według Ruth tuż przed świtem Christy czule ją pożegnał i wsadził do taksówki. Nie wiem dlaczego, ale sądziłam, że ona pojedzie do Jabhati.

- Och, to chyba nigdy nie było w planach. O ile wiem, spędzili razem kilka dni nad jeziorem Wiktorii, a teraz Shakira wraca do swoich normalnych zajęć, jakiegokolwiek one są. - Hilary przerwała i łyknęła colę. Wytarła usta wierzchem dłoni. - Gdybym była na jej miejscu, nie spuszczałabym Christy'ego z oka.

- Może ona nie lubi życia w osadzie w dżungli - zauważyła Toni.

- Mimo to pojechałabym za nim wszędzie... - Hilary westchnęła, po czym gwałtownie zamknęła usta. Mikrobus podskoczył na wyboju i ostro zakręcił. Obie poleciały na bok. Teraz już wszyscy złapali się poręczy.

Nawet o tak wczesnej porze na ulicach Nairobi panował tłok. Wszędzie widać było ludzi, samochody i autobusy. W powietrzu unosiły się spaliny, co chwila słychać było

klaksony. Toni zauważyła kilka mikrobusów załadowanych turystami, najwyraźniej wybierającymi się na safari do kenijskiej dżungli.

- Te autobusy nie wydają się bezpieczne - zauważyła Ruth, gdy mijali zatłoczony pojazd. Na dachu widać było stertę bagaży, a na zderzakach jechali uczepleni jacyś chłopczy. - Cieszę się, że lecimy.

- Mam nadzieję, że zobaczymy dużo zwierząt! - zawołał Paul, przekrzykując warczenie silnika.

- Nie martw się o to - odpowiedział mu Christy. Siedział na fotelu obok kierowcy. - Nawet jeśli dzisiaj zobaczysz niewiele, na miejscu nadrobisz zaległości.

Już prawie wyjechali poza miasto, gdy Christy pochylił się do kierowcy i wydał mu jakieś polecenie. Po chwili zjechali na boczną drogę, pokrytą pomarańczowym pyłem. Pięć minut później, po pokonaniu prawdziwego labiryntu, zatrzymali się przed jakąś budą. Na ulicy wałęsało się kilku wyrostków. Dla rozrywki rzucali kamieniami w pustą puszkę po piwie.

Jack mruknął coś zupełnie niezrozumiałego, po czym wyskoczył z mikrobusu i zniknął między zabudowaniami.

Czekali na niego kilka minut. W międzyczasie kilku wyrostków podeszło do pojazdu. Pukając w okna, starali się zachęcić pasażerów do wyjścia.

- Wy nie wychodzić - rzucił przez ramię kierowca. Był najwyraźniej zaniepokojony całą sytuacją.

- Możesz się tego nie obawiać - odrzekł Henry, znów wycierając pot z czoła. Toni miała wątpliwości, czy tym razem spociał się tylko z powodu upału. Spojrzała na pozostałych. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że Ruth miała w uszach złote kolczyki. Hilary zauważyła, na co patrzy Toni.

- Można się było tego spodziewać - mruknęła. - Ruth uważa, że reguły są dla innych, nie dla niej.

Gdy Christy wrócił, nawet Toni poczuła ulgę. Wsiadł do mikrobusu; w tym momencie dostrzegła, że nie jest sam.

- Oho - szepnęła Hilary. - A któż to tym razem? Muszę przyznać, że Jack Christy ma niezły gust do kobiet.

To właściwie jeszcze dziewczyna, nie kobieta, pomyślała Toni, przyglądając się młodziutkiej, pięknej Murzynce. Miała wielkie oczy i gładką skórę barwy hebanu. Ubrana była w pomarańczową tunikę, a na szczupłe ramiona miała luźno narzuconą jakąś niebieską szatę. Jej cały bagaż składał się ze sporego tłumoka, który niosła w ręce.

- To Diaka - przedstawił ją Christy. - Mieszka w Jabhathi, nie mówi po angielsku. Pojedzie z nami. - Ton jego głosu wykluczał wszelką dyskusję. Nikt się nie odezwał.

Christy rozejrzał się i na chwilę zatrzymał wzrok na Toni, po czym powiedział coś do Diaki w suahili. Toni rozpoznała swoje imię. Christy znów na nią spojrział.

- Diaka jest chora. Powiedziałem jej, że jesteś doktorem i będziesz się nią zajmować - oznajmił.

Toni kiwnęła głową. Poczowała idiotyczną radość, że Christy nie tylko pamiętał o jej obecności, ale nawet uznał jej zawodowe kompetencje.

Lotnisko polowe leżało na zachód od Nairobi. Tuż obok wąskiego pasa startowego stało kilka baraków pokrytych blachą falistą. Nawet teraz, tuż po świcie, wydawały się rozpalone do białości. Przed jednym z baraków stały dwa samoloty. Promienie słońca odbijały się od wielkich śmigieł.

- Rany boskie! - Henry Bowyer znów zsunął swój kapelusz i podrapał się po łysinie, z niedowierzaniem przyglądając się samolotom. - To przecież stara Dakota, prawda?

- Zgadza się - przyznał z uśmiechem Christy. - Ten drugi to Caribou. Wspaniałe, nie sądzisz?

- Wydają się nieco zardzewiałe - powiedziała Ruth.

Zdjęła z nosa okulary przeciwsłoneczne, żeby lepiej przyjrzeć się samolotom. - Mam nadzieję, że są bezpieczne.

W tym momencie z baraku wyszedł jakiś mężczyzna i zbliżył się, żeby ich powitać. Musiał usłyszeć słowa Ruth.

- Bezpieczne jak własne łóżko, szanowna pani! - wykrzyknął. - Dużo pewniejsze niż te delikatne cacka, jakie dziś budują. Cześć, Jack, jak się miewasz?

- Cześć, Lutas, stary draniu. - Christy poklepał go po ramieniu. - Jak życie?

Lutas uśmiechnął się w odpowiedzi, co miało znaczyć, że nie ma powodu do narzekań. Nie był wysoki, lecz szeroki w barach i mocno umięśniony. Widać było, że nie jest już młody. Wśród czarnych włosów łączących się z brodą połyskiwały siwe pasemka, a jego twarz była porwana licznymi, głębokimi zmarszczkami. Miał na sobie koszulę w czarno-czerwonej kratę i dżinsy. Toni zwróciła uwagę na jego wielkie dłonie, wykrzywione i ciemne od smarów.

- Obawiam się, że będziemy musieli poczekać - oznajmił, przyglądając się swym pasażerom. Mikrobus już odjechał i Toni nagle poczuła się porzucona.

- Jak długo? - skrzywił się Christy.

- Burza - odrzekł Lutas, rozkładając ramiona. - Gdzieś niedaleko granicy. Nie ma sensu startować.

- Czy możemy poczekać gdzieś w środku, nie na słońcu? - niespokojnie spytał Henry.

- Oczywiście. - Lutas wskazał palcem na jeden z baraków. - Tam jest poczekalnia. Możecie sobie wziąć coś do picia - dodał, po czym zachichotał i poszedł w kierunku samolotu, wycierając ręce w brudną szmatę.

Pozostali odprowadzili go wzrokiem. Nikt się nie odzywał. Ruth już chciała zrobić jakąś uwagę, ale Christy ją uprzedził.

- Chodźmy - powiedział zdecydowanym tonem,



chwytnąc swój neseser. - Lepiej wejdźmy do środka, bo komary zjedzą nas żywcem.

- Dobry pomysł. - Toni od kilku minut nieustannie oganiała się od owadów i nie potrzebowała dodatkowej zachęty.

W środku było nieco chłodniej. Wiszący u sufitu stary wentylator niemiłosiernie skrzypiał, ale działał. W poczekalni była tylko ławka i prosty stół z bambusa. Na ich widok z ławki wstał wysoki Murzyn i przyjrzał się im z powagą.

- *Jambo* - powitał go Christy.

- Dzień dobry - statecznie odpowiedział tamten. - Nazywam się William Batouala.

- Jack Christy - przedstawił się Jack i podał mu rękę.

- Mam lecieć z wami - oświadczył Batouala. Mówił po angielsku wyraźnie artykułując słowa, ale zupełnie poprawnie.

- DoJabhati?

Toni zauważyła, że Christy jest zdziwiony. Wyglądało na to, że zna wszystkich w Jabhati i byłby poinformowany o każdym nowym przybyszu.

- Nie, nie do Jabhati. - William Batouala pokręcił przecząco głową. Przez chwilę przyglądał się Diace, która w milczeniu weszła do poczekalni i usiadła na ławce. - Pochodzę z Harare. Pracuję w administracji rządowej w Nairobi, ale mój dom jest we wsi, niedaleko Harare. Muszę wrócić, bo mama zachorowała.

- Mam nadzieję, że nie będziemy czekać zbyt długo - powiedziała z pretensją w głosie Ruth. Z wyraźnym niesmakiem rozglądała się po spartańsko wyposażonej poczekalni. - Przypuszczam, że w tej dziurze nie dostaniemy nawet kawy.

- Tam jest kawa - odpowiedział jej Batouala, wskazując na drzwi zasłonięte kotarą. - Lutas powiedział, że mogą się państwo poczęstować.

- Chodźmy. - Toni spojrzała na Hilary. - Sprawdźmy, co tam można znaleźć.

Szybko uciekły do niewielkiej kuchni. Na elektrycznej kuchence stał dzbanek do parzenia kawy, a na półce liczne kubki.

- British Airways powinny uważać na taką konkurencję - zaśmiała się Hilary i sięgnęła po naczynia.

- Zapowiada się rozrywkowa podróż - przyznała Toni, kiwając głową.

Gdy wróciły do poczekalni z tacą pełną kubków kawy, Christy, Paul i Henry zajęci byli rozładowywaniem furgonetki, która właśnie przyjechała.

- To chyba lekarstwa dla szpitala - wyjaśniła im Ruth.

Kawa okazała się zaskakująco dobra. Nawet Ruth nie narzekała. Musieli jednak jeszcze długo czekać, nie mając nic do roboty. Mogli tylko czytać i rozmawiać.

Toni dwukrotnie spróbowała porozumieć się z Diaka, ale za każdym razem dziewczyna tylko wbijała wzrok w podłogę. Za drugim razem Toni zaproponowała jej, żeby zdjęła płaszcz, to będzie jej chłodniej, ale Diaka zamiast tego zebrała fałdy materiału i zacisnęła narzutę jeszcze mocniej. Toni musiała się poddać. Christy powiedział, że dziewczyna jest chora, ale Toni nie zauważyła żadnych wyraźnych symptomów i nie wiedziała, jak mogłaby jej pomóc.

Przez jakiś czas rozmawiali o pracy i rodzinach. Henry przyznał, że ma dwie dorosłe córki. Jedna już wyszła za mąż, druga planowała ślub za rok.

- Masz pewnie sporo wydatków - zauważył Christy.

- Nie musisz mi o tym mówić. - Henry pokiwał głową.

- Pracuję na okrągło, żeby zapłacić rachunki.

Ruth nie mogła pozostać w tyle. Oświadczyła, że ma trzy córki, które wyszły za mąż w ciągu jednego roku.

- Masz już wnuki, Ruth? - spytała Toni.

- Tak, troje. Dwie dziewczynki w Anglii i chłopca w Kanadzie. Jeszcze go nie widziałam - dodała. - Odkąd zaczęłam kierować naszą organizacją, nie mam czasu na nic innego. To zupełne szaleństwo.

Paul przyznał się, że jest kawalerem i mieszka z matką, która owdowiała kilka lat temu.

Rozmowa wkrótce ucichła. Toni zauważyła, że Jack Christy nic nie powiedział o sobie.

Koło pierwszej pojawił się Lutas i oznajmił, że mogą ruszać. Wszyscy wstali z twardej ławki i zaczęli się przeciągać.

- Czy burze już minęły, panie Lutas? - wyniosłe spytała Ruth.

- Tak. - Lutas kiwnął głową. - Proszę do mnie mówić Lutas, szanowna pani, bez tego pana - dodał.

- Bardzo przepraszam. - Ruth wydawała się zupełnie zaskoczona i zmieszana. Gdy pilot wyszedł, Christy próbował jej coś wyjaśnić.

- On woli, żeby wszyscy tak do niego mówili. Po prostu Lutas.

- Dlaczego? - spytała Ruth.

- Gdyby pani miała na imię Cuthbert, pewnie też wołałaby pani nie używać imienia - uśmiechnął się. Po raz pierwszy Toni dostrzegła na jego twarzy rozbawienie. Teraz zupełnie się zmienił, jakby odsłaniając inną stronę osobowości. Toni zrozumiała, że Jack nie zawsze jest taki ponury, jakim widziała go dotychczas. On jednak zaraz spoważniał i zajął się bagażami.

Diaka, która przez cały czas oczekiwania na start siedziała nieruchomo, wstała i podniosła z podłogi swój tłumok. Pozostali również chwycili swe torby.

Już mieli wyjść na płytę lotniska, gdy Toni zauważyła, że Paul szuka czegoś nerwowo w neseserze.

- Co ci zginęło, Paul? - spytała. Davis był wyraźnie zdenerwowany.

- Zostawiłem inhalator wraz z lekarstwem w hotelu - odrzekł, nie podnosząc głowy.

- Jesteś pewny? - Toni spojrzała na jego walizki.

- Tak. Pamiętam, że położyłem go na półce w łazience. Musiałem go tam zostawić.

Pozostali wyszli już z poczekalni. Christy musiał zauważyć, że kogoś brakuje, bo zaraz wrócił.

- Jakies kłopoty? - spytał.

- Paul zostawił lekarstwo w hotelu - wyjaśniła Toni.

- Jakie lekarstwo?

- Ventolin do inhalacji.

- Masz astmę? - skrzywił się Jack.

- Tak, od dzieciństwa - przyznał Paul.

- Nie mamy czasu, żeby wrócić do hotelu.

- Może ma pan ventolin w tych paczkach? - spytała Toni, wskazując na stertę pudeł.

- Nie. - Christy pokręcił głową.

Paul denerwował się coraz bardziej. Toni zaczęła się obawiać, że może to spowodować atak astmy. Nie wiedziała, co robić.

- Nie martw się - powiedział Jack. - Mam ventolin w szpitalu w Jabhati. Będziemy tam za kilka godzin.

- OK, dzięki. - Paul wyraźnie odetchnął. Ruszyli do samolotu. - Na szczęście od wylądowania w Afryce czuję się wyraźnie lepiej.

- Zmiana środowiska - zauważył Christy.

- Być może - zgodził się Paul z nerwowym uśmiechem.

Było nieznośnie gorąco. Pośpiesznie przeszli przez rozpaloną płytę lotniska i wsiedli do samolotu. Mieli lecieć Dakotą. W środku było dość ciemno i chłodno. Toni z przyjemnością wciągnęła w płuca zimne powietrze.

Henry wydawał się podniecony faktem, że mieli lecieć właśnie tym samolotem. Długo opowiadał siedzącej obok

Ruth, że wiele lat temu jego szwagier zajmował się ich budową.

Toni usiadła koło Hilary. Usłyszała Ruth, która oświadczyła, że większą otuchą napawa ją fakt, iż Lutas był w młodości pilotem RAF-u. Sam im o tym powiedział. Według Ruth to świadczyło, że powinien umieć sterować takim samolotem jak Dakota. Toni miała nadzieję, że Lutas nie słyszał tej rozmowy. Ryk silników i krzyki obsługi naziemnej zagłuszały wszystko.

Po chwili samolot ruszył. Przez parę sekund podskakiwał na nierównym pasie, po czym nabrał szybkości i wzbił się w powietrze.

Wznosili się ku rozpalonemu niebu nad Nairobi. Toni zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech.

Po przeciwnej stronie samolotu siedzieli William Batouala i Christy. Toni poczuła na sobie jego spojrzenie. Wypuściła z płuc powietrze. Wiedziała, że ją obserwował. Na jego twarzy widać było lekki grymas powątpiewania, tak jakby znów zważył w jej siły i zdolność do wytrwania w ciężkich warunkach. Toni zignorowała to spojrzenie i niedbale popatrzyła przez okno. Starła się zachowywać nonszalancko, ale w rzeczywistości zaciskała zęby z gniewu. Raz jeszcze postanowiła, że pokaże mu, na co ją stać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Przyjemny chłód nie trwał długo. Już po dwóch kwadransach popołudniowe słońce zmieniło wnętrze samolotu w prawdziwy piec.

- Boże, ale gorąco! - jęknęła Hilary. Wypiła łyk wody z butelki, po czym zwilżyła chustkę i zrobiła sobie kompres na kark. - Musimy się z tym pogodzić, prawda? - dodała z krzywym uśmiechem, chowając butelkę do plecaka.

- Jak długo już pracujesz dla tej fundacji? - zainteresowała się Toni.

- Prawie trzy lata.

- A co właściwie robisz?

- Jestem specjalistką od oceny środowiskowych warunków zdrowia.

- Brzmi imponująco - uśmiechnęła się Toni. - Teraz wytłumacz mi, co to znaczy.

- Tym razem jedziemy na inspekcję, ale zazwyczaj odwiedzam miejsca, gdzie dopiero mamy wiercić studnie. Rozmawiam z mieszkańcami, razem z nimi decyduję, gdzie ma się znajdować, potem uczę ich higieny i tłumaczę, jakie korzyści daje czysta woda. Zdziwiłabyś się, widząc, jak bardzo studnia może zmienić ich życie. To nie sprowadza się tylko do zmniejszenia częstotliwości zachorowań.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła Toni. Wiedziała, że takie sprawy mogą mieć znaczenie dla jej pracy w Jabhati.

- Przede wszystkim studnia może zaoszczędzić kobietom ze wsi mnóstwo czasu.

- W jaki sposób? - zdziwiła się Toni.
- To zawsze kobiety noszą wodę - ożywiła się Hilary. Najwyraźniej przejmowała się swoją pracą. - Czasami muszę chodzić dziesięć kilometrów do najbliższego źródła. Możesz sobie wyobrazić, ile to wymaga czasu.
- Rzeczywiście - przyznała Toni.
- Prócz tego, gdy we wsi jest studnia, małe dzieci są znacznie czystsze. Tak samo mężczyźni.
- Tak? - Toni uniosła w górę brwi.
- Oczywiście. Kobiety myją się, gdy pójda po wodę. Biorą ze sobą niemowlęta i starsze dzieci. Ale dla kilkuletnich to często za daleko, a są już zbyt ciężkie, aby je nosić. Mężczyźni też nie chodzą do źródła, bo uważają to za babskie zajęcie. - Hilary przerwała na chwilę. - Po powrocie z Afryki koleżanka opowiedziała mi kiedyś smutną historię o kobiecie, która nie potrafiła się zmusić, by pocałować własną córkę. Taka była brudna.

Toni odruchowo spojrzała na Diakę. Dziewczyna siedziała nieruchomo, zachowując kamienny wyraz twarzy.

- Lepiej będzie, jeśli porozmawiam z Ruth - mruknęła Hilary i wstała z fotela. - Wydaje mi się, że nieco pozieniła. Omówię z nią nasz rozkład jazdy, to powinno odwrócić jej uwagę od lotu.

Gdy Hilary przeszła do tylnej części samolotu, Toni odchyliła głowę i zamknęła oczy. Czuła, jak po plecach spływają jej krople potu. Bawełniana koszula, którą włożyła w nadziei, że będzie w niej chłodniej, już lepiła się jej do piersi. Nie chciała jednak narzekać. Po tym, co opowiedziała jej Hilary, uważała, że nie ma do tego prawa.

Mimo gorąca zapadła w drzemkę. W pewnym momencie poczuła, że ktoś dotyka jej dłoni i natychmiast otworzyła oczy. Tuż nad sobą zobaczyła twarz Christy'ego. Zupełnie zaskoczona, wpatrywała się w niego nic nie mówiąc. Widziała jego szare oczy i jasną czuprynę.

- O co chodzi? - wykrztusiła wreszcie. - Co się stało?  
- Nic - odpowiedział spokojnie. - Po prostu pomyśla-  
łem, że nie chciałybyś stracić tych widoków. - Wskazał  
głową okno.

- Widoków?

Toni wyjrzała przez szybę. Lecieli na niepokojąco ni-  
skiej wysokości. Cała sawanna pod nimi wydawała się  
pokryta wielką ruchomą masą.

- Co to takiego? - Przetarła oczy. Dopiero teraz dotarły  
do niej podniecone okrzyki pozostałych.

- Gnu... - szepnął Christy.

- Och... - Toni przyglądała się zafascynowana wido-  
kiem ogromnego stada. Sawanna wyglądała teraz jak falu-  
jące morze.

- To bardziej przypomina Afrykę z moich wyobrażeń  
- szepnęła wreszcie.

- Niewiele brakowało, a przespałabyś to wszystko  
- zauważył złośliwie Christy.

- Nie sądziłam, że z pasażerskiego samolotu można coś  
takiego zobaczyć - odrzekła Toni, usprawiedliwiając swą  
drzemkę.

- Lutas leci bardzo nisko - uśmiechnął się Christy.

- Czy to jest dozwolone?

- Oczywiście, że nie. To całkowicie wbrew przepisom,  
ale ... - Wzruszył ramionami. - Lutas usłyszał, jak Paul  
narzeka, że jeszcze nie widział zwierząt na swobodzie.  
Postanowił sprawić mu przyjemność. - W tym momencie  
samolot pochylił się i ostro zakręcił na zachód.

- Spójrz, tam stoi żyrafa! - wykrzyknęła Toni, wskazu-  
jąc palcem. - A tam, to chyba zebry?

Wszyscy krzyczeli i pokazywali sobie nawzajem różne  
zwierzęta. Toni chłoneła ten widok z wypiekami na twarzy.  
Lutas wykonał jeszcze jedną pętlę na małej wysokości, po  
czym samolot zaczął się wznosić. Toni opadła na fotel



i odetchnęła. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że wciąż zaciska palce na ramieniu Christy'ego, który przyglądał się jej z wyraźnym rozbawieniem.

- Bardzo pana przepraszam • - wymamrotała, szybko cofając rękę.

- Nie ma za co - odpowiedział swobodnie. - To zupełnie zrozumiałe, że tak zareagowałaś. Dla każdego pierwsze spotkanie z dzikimi zwierzętami jest bardzo podniecające.

- A Jabhati? - Toni uniosła brwi. - Czy to też takie ekscytujące doświadczenie?

- To zależy od tego, co cię ekscytuje - oschle odrzekł Christy. - W pobliżu nie ma zwierząt żyjących na sawanach, a poza tym zazwyczaj jesteśmy tak zapracowani, że nie mamy czasu na obserwacje fauny.

- Zdaję sobie sprawę z tego, doktorze Christy, że jadę do pracy - odparła Toni. Ton jego głosu znów ją zirytował.

- Doskonale. Nie będziesz zatem rozczarowana. Tam nigdy nie brakuje pracy.

- Właśnie rozmawiałam z Hilary o korzyściach, jakie może przysporzyć mieszkańcom studnia - zauważyła Toni, zerkając na niego kątem oka.

- Z pewnością studnia bardzo zmieniła życie w Jabhati - zgodził się Christy.

- Kiedy wywiercili tam studnię głębinową?

- Zaledwie sześć miesięcy temu. To wciąż pewna nowość. - Spojrzał w kierunku przodu samolotu. - Diaka przekona się, że podczas jej nieobecności życie w osadzie bardzo się zmieniło.

- Próbowałam z nią rozmawiać - powiedziała Toni, pochylając się na bok, aby spojrzeć na dziewczynę. Wzruszyła ramionami, co miało wyrażać beznadziejność tych prób. - Wydaje się dość zadowolona, chyba nic jej nie dokucza.

- Możesz mi wierzyć lub nie - Christy zniżył głos,

mimo że Diaka nie mogła ich zrozumieć - ale ona jest śmiertelnie przerażona.

- Przerażona? - Toni rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Nigdy przedtem nie leciała samolotem - wyjaśnił.

- Zupełnie skamieniała.

- Nigdy bym tego nie odgadła. Nie zdradziła się ani słowem.

- Taki już ma zwyczaj. Ci ludzie są niezwykle dumni.

Sama się o tym przekonasz, jeśli zostaniesz tu dostatecznie długo.

- Co ma znaczyć, jeśli zostanę"? - gniewnie spytała Toni.

- To co powiedziałem. - Christy wzruszył ramionami.

- Jeśli wytrzymasz tutejsze warunki.

- Doktorze Christy - zaczęła Toni i chwyciła głęboki oddech. - Mam zamiar wytrzymać tutejsze warunki i będę szczerze zobowiązana, jeśli zechce pan nie poruszać tego tematu ponownie.

Zamilkł na chwilę. Wstał i spojrzał na nią z góry.

- To się okaże - powiedział z irytacją. - Aha, jeszcze jedno - dodał, nim zdążyła zareagować. - Jeśli mamy razem pracować, to skończ lepiej z tym doktorem Christy. Mam na imię Jack.

Odwrócił się i odszedł na swoje miejsce, koło Williama Batouali. Toni odprowadziła go wzrokiem. Czuła zniecierpliwienie i determinację.

Temperatura w samolocie wzrosła jeszcze bardziej. Toni ponownie zapadła w drzemkę. Zdażyła jeszcze tylko zauważyć, że Hilary znowu siada obok niej, po czym zasnęła na dobre.

Po jakimś czasie obudził ją głos Lutasa, dochodzący z głośnika nad drzwiami kabiny pilota.

- Przelatujemy obok Kilimandżaro. To najwyższa góra Afryki - wyjaśnił. - Widać ją po lewej stronie. Sądziłem, że wszyscy chcielibyście ją zobaczyć. Robi duże wrażenie.

Toni wyrzała przez okno po przeciwnej stronie samolotu. Między chmurami widać było pokryty śniegiem szczyt.

- Za chwilę minimy granicę z Tanzanią. Lecimy zbyt wysoko, abyście mogli coś zauważyć. Możecie spać dalej - zachichotał Lutas. Głośnik wzmocnił jego gardłowy rechot. - Dobrze wiem, że wszyscy chrapaliście. Obudzę was, gdy będziemy w Jabhati.

Toni obudziła się znowu, gdy Hilary szturchnęła ją w żebra. Otworzyła oczy. Jeszcze przed sekundą śniła, że jest w rodzinnym Chichester i robi z matką zakupy. Przez chwilę nie mogła sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje. Wciąż było nieznośnie gorąco. Spojrzała na Hilary.

- Co... - zaczęła, ale zaraz urwała.

- Cicho. Lepiej słuchaj. - Hilary wskazała na głośnik. Toni dopiero teraz usłyszała głos Lutasa.

- Nie ma powodu do alarmu - mówił pilot. - Te burze, które opóźniły start, znów pojawiły się na naszej drodze. Na wysokości siedmiu tysięcy metrów znajduje się cały szereg układów burzowych. To stanowi pewien problem. Nie możemy przelecieć pod nimi, bo przeszkadzają nam góry. Musimy zrobić objazd. Obawiam się, że nici z kolacji w Jabhati.

Po tym komunikacie wszyscy się obudzili. Hilary wyciągnęła pudełko czekoladek z miętowym nadzieniem i poczęstowała wszystkich. Tylko Diaka odmówiła.

- Nie lubię burz - powiedziała Ruth. - Podczas burzy zawsze mam bóle głowy. Już mnie boli. Myślałam, że to z powodu gorąca, ale...

- Ciekawe, jak duże koło będziemy musieli zrobić - mruknął Henry.

- Mam nadzieję, że ma na to dość paliwa - dodał Paul. W jego głosie słychać było niepokój.

Przez następną godzinę Lutas się nie odzywał, więc wszyscy doszli do wniosku, że pewnie nie dzieje

się nic złego. Nagle wielka błyskawica rozświetliła wnętrze Dakoty. Ruth głośno krzyknęła. Dopiero teraz Toni uprzytomniła sobie, jak jest ciemno. Wokół widać było wielkie, fioletowe chmury. Potężny grzmot niemal ją ogłuszył.

- Wygląda na to, że gonią nas burze - odezwał się Lutas przez głośnik. - Czekajcie nas wyboista droga, przyjaciele.

Nim skończył, samolot zaczął gwałtownie podskakiwać. Wszyscy zaczęli coś mówić, ale zaraz zamilkli. Burza rzucała samolotem na wszystkie strony.

Lecieli wśród chmur przez jakieś trzydzieści minut. W kabinie panowała zupełna cisza.

Toni zamknęła oczy i spróbowała się odprężyć, ale okazało się to niemożliwe. Gdy uniosła powieki, zauważyła, jak Hilary zaciska kurczowo palce na pasach plecaka. Rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, jak znoszą lot pozostali. Bała się ich reakcji. Henry obficie się pocił, Ruth miała zamknięte oczy, a Paul wyraźnie poszarzał na twarzy. William Batouala poruszał ustami, zupełnie jakby się modlił. Tylko Diaka wyglądała tak, jakby nie wiedziała, co się dzieje.

Toni znów zerknęła na Paula i przypomniała sobie o pozostawionym w Nairobi lekarstwie. Popatrzyła na Jacka, który w tym samym momencie, jakby na sygnał, odwrócił się w jej kierunku. Wiedziała, że oboje myślą o tym samym.

Nagle wstał, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich. Wzrokiem polecił Toni, żeby zajęła się Paulem.

- Zjrzyj do Lutasa i zobacz, jak mu idzie - powiedział niefrasobliwie, po czym skierował się do kabiny pilota.

Toni podniosła się i podeszła do Paula.

- Dobrze się czujesz? - spytała spokojnie.

- Tak, wszystko w porządku - odparł. Nie zabrzmiało to jednak przekonująco.

- Postaraj się odprężyć - poradziła, starając się mówić

rzeczowym, opanowanym głosem. - Wszystko będzie dobrze.

Wiedziała, że napięcie może spowodować atak astmy, którego obawiał się Paul. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Wróciła na swoje miejsce. Po jakichś dziesięciu minutach w kabinie pojawił się Christy. Wszyscy zauważyli jego ponurą minę.

- Co się stało, doktorku? - spytał Henry Bowyer żartobliwym tonem.

- Sytuacja jest poważna - odrzekł Jack. Stał twarzą do wszystkich. - Lutas nie chciał, abym wam mówił, ale moim zdaniem macie prawo wiedzieć.

- Co to ma znaczyć? Co się stało?! - wykrzyknęła Ruth. W jej głosie wyraźnie słychać było panikę.

- Przede wszystkim zeszliśmy z kursu, i to bardzo - zaczął Christy.

- Jak bardzo? - przerwał mu Henry.

- Według Lutasa mogliśmy zboczyć o kilkaset kilometrów.

- Gdzie zatem jesteście? - spytała Hilary, unosząc głowę.

- Tego Lutas nie wie - oznajmił Jack ponurym tonem.

Wszyscy zaczęli jednocześnie krzyczeć.

- Co znaczy, że on nie wie?! - Wysoki głos Ruth przebił się przez hałas. - Musi wiedzieć, przecież jest pilotem! Sam pan mówił, że jest dobrym pilotem! - dodała oskarżycielskim tonem.

Ze wszystkich stron dobiegały bezładne okrzyki pozostałych pasażerów.

- Lutas jest doskonałym pilotem - zimno stwierdził Jack. Wszyscy ucichli. - Jest dobrym pilotem - powtórzył.

- W obecnych warunkach żaden inny pilot nie mógłby lepiej pokierować lotem.

- Dlaczego zatem nie wie, gdzie jesteście? - spokojnie spytał Henry.

- Właśnie. Dlaczego nie wie, gdzie jesteśmy? - powtórzyła Ruth.

- Ponieważ w czasie burzy - cierpliwie wyjaśniał Jack - w samolot uderzyła błyskawica i straciliśmy łączność radiową.

Zapadła pełna grozy cisza. Jack rozejrzał się po kabinie i na chwilę zatrzymał wzrok na Diace, która wciąż siedziała nieruchomo.

- Ale - cienkim, wysokim głosem odezwał się Paul - jest jeszcze kompas. Przecież z pomocą kompasu...

- Piorun uszkodził również kompas - oznajmił spokojnie Jack, nie odrywając spojrzenia od głowy Diaki. - Igła kręci się na wszystkie strony.

- A zatem zgubiliśmy drogę - Henry powiedział głośno to, czego wszyscy się obawiali.

- Chyba tak - przyznał Jack.

- Boże litościwy! - jęknęła Ruth. Niewiele brakowało, a poddałaby się hysterii. Nim inni zdążyli zareagować, Jack przejął inicjatywę.

- Proszę zachować spokój - powiedział. - Nie chcę tu żadnej paniki. Spokój jest najważniejszy.

- Co Lutas zamierza zrobić? - spytała cicho Hilary.

Wszyscy usłyszeli pytanie i teraz czekali na odpowiedź. Jakby na sygnał, z głośnika nad głową Jacka rozległ się głos pilota.

- No cóż, przyjaciele, Jack już wam pewnie przedstawił sytuację i wszyscy zastanawiacie się, co będzie dalej. Jak wam powiedział, zboczyliśmy z kursu, i to poważnie. W rzeczywistości nie mam pojęcia, dokąd zawędrowaliśmy. Mamy teraz dwie możliwości: możemy lecieć tak długo, dopóki starczy paliwa albo spróbuję posadzić tę furmankę na ziemi, póki jest widno. Postanowiłem, że będziemy lądować. Postaram się znaleźć jakieś równe miejsce. Tymczasem proszę przygotować się do awaryjnego lądowania.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Głośnik zamilkł. Lutas z pewnością zaczął zbierać siły do czekającego go zadania.

- Wszyscy zginiemy. - Jak można było przewidzieć, to Ruth głośno wyraziła obawy pozostałych.

William Batouala znów zaczął poruszać wargami. Niewątpliwie modlił się o ocalenie. Paul ciężko dyszał. Słychać było jego świszczący oddech. Diaka zamknęła oczy, a Hilary spojrzała na Toni. Nim zdążyła coś powiedzieć, Jack obrócił się na pięcie, zaklął pod nosem i zniknął w kabinnie pilota.

W głowie Toni gorączkowo kłębiły się myśli. Czyżby miała zginąć w wypadku lotniczym? To przecież niemożliwe. W kółko powtarzała sobie w duchu, że chyba nie przyjechała do Afryki, o czym marzyła od dzieciństwa, tylko po to, aby zaraz umrzeć.

Niespokojnie wyglądała przez okno, starając się zachować zimną krew. Niewiele brakowało, a uległaby panice. Ziemia wciąż wydawała się bardzo odległa. W dole widać było nie kończący się brązowy krajobraz, upstrzony zielonymi plamami i ciemniejszymi skupiskami, wyglądającymi jak poszarpane głązy. Toni pomyślała, że jeśli samolot wpadnie na skały, to z pewnością nastąpi eksplozja. Boże! Zacisnęła powieki i próbowała się pomodlić, ale nie mogła. Natychmiast przypomniała sobie matkę. Zaczęła się zastanawiać, jak zareaguje, gdy się dowie, że jej jedyna córka zginęła w katastrofie. Ciekawe, kto jej o tym powie? Czy

ktoś z międzynarodowej organizacji pomocy, czy też może australijska policja - mama pojechała na wakacje odwiedzić siostrę i zobaczyć wielką rafę koralową.

Czuła, jak między piersiami spływają jej kropelki potu. Zwilżyła językiem zaschnięte wargi. A co z innymi? Ruth już nigdy nie zobaczy swojego małego wnuka... Henry nie wyda za mąż drugiej córki... Co powie matka Paula?... A Jack Christy? Kto powie Shakirze? Jak ona przeżyje śmierć kochanka? Czy to będzie dla niej straszny cios?

- Powtarzam, proszę zachować spokój.

Toni poderwała głowę. Jack wrócił z kabiny pilota. Wydawał się spokojny, ale Toni bez trudu dostrzegła pulsujące żyły na jego skroniach.

- Lutas zamierza znaleźć odpowiednie miejsce do lądowania, nim wyczerpie się zapas paliwa - dodał.

- Onp...p... powiedział a...awaryjne lądowanie-wyjął Paul. - Czy to o...oznacza k...k...katastrofę?

- Samolot jest w porządku - zdecydowanie odpowiedział Jack. - Lutas to bardzo doświadczony pilot. Z całą pewnością sprowadzi samolot bezpiecznie na ziemię. Teraz proszę zapiąć pasy. Powiem wam, kiedy będziemy podchodzić do lądowania. Wtedy proszę pochylić się do przodu i osłonić głowę ramionami, o tak... - Jack zademonstrował standardową procedurę zwiększającą bezpieczeństwo.

- Ale przecież zabłądziliśmy - jęknęła Ruth. - Lutas nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy. Kto wie, co nas czeka na ziemi?

Wszyscy instynktownie wyjrzeni przez okna.

- O to będziemy się martwić, gdy już znajdziemy się na ziemi - oświadczył zdecydowanie Jack. - Na wszystko przyjdzie pora. Najpierw musimy bezpiecznie wylądować.

W tym momencie samolot zaczął gwałtownie zniżać lot.

Hilary zacisnęła palce na przedramieniu Toni. W kabine rozległy się nerwowe okrzyki pozostałych pasażerów.



Jack znów zniknął .w kabinie pilota. Toni zacisnęła szczęki i ośmieliła się wyrzucić przez okno. Lecieli już nisko nad ziemią. Niektóre plamy, które przedtem uznała za skały, wyraźnie się poruszały. To były zwierzęta, zapewne bawoły. W pewnym momencie dostrzegła kilka słońi, ale była zbyt przerażona, aby komukolwiek o tym powiedzieć. Zresztą słońie nikogo nie obchodziły. W obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa wszystko straciło znaczenie.

Ziemia zbliżała się coraz szybciej. Toni zauważyła, że Jack wyskoczył z kabiny pilota.

- Lutas ląduje! Trzymajcie się! - krzyknął i rzucił się na fotel koło drzwi.

Toni jęknęła ze strachu, po czym pochyliła się do przodu i osłoniła głowę ramionami. Hilary zrobiła dokładnie to samo.

Samolot uderzył o ziemię. Usłyszeli trzask. Dakota podskoczyła i znów opadła, po czym wpadła w poślizg. Powietrze przeszył potworny pisk. Słychać było zgrzyt dartej metalu. Po kilku sekundach samolot znieruchomiał i zapadła cisza.

Toni podniosła głowę i skrzywiła się z bólu. Była trochę poobijana. A może już nie żyje? Może to cisza niebiańska? Ostrożnie obróciła głowę. Tuż obok siedziała Hilary, wciąż zaciskając ramiona wokół głowy.

- Hilary? - szepnęła Toni. Ku jej ogromnej uldze, kobieta otworzyła oczy. - Nic ci się nie stało?

- Chyba nie, jeszcze nie wiem. - Hilary ostrożnie zaczęła się prostować.

Ktoś zaczął cicho jęczeć. Słychać było dziwny, piskliwy dźwięk. Toni wstała i rozejrzała się po kabinie.

Dwie czy trzy osoby poruszyły się. Toni przeciągnęła się ostrożnie. Z ulgą stwierdziła, że jest cała, choć bolało ją paskudnie ramię, a plecy zapewne miała pokryte siniakami.

Hilary chyba również wyszła bez szwanku. Toni zauważyła, że William Batouala wstaje i pochyla się nad Diaka. Przcisnęła się obok sąsiadki i podeszła do Ruth. To ona tak jęczała.

- Co ci jest, Ruth? - spytała. - Jesteś ranna?

- Mój kark... mój kark... -jęczała kobieta. Próbowwała unieść rękę, aby się pomasować.

- Siedź spokojnie, Ruth - poleciła jej Toni. - Słyszysz, co do ciebie mówię?

Ruth nie zareagowała, ale gdy Toni powtórzyła, kiwnęła wreszcie głową.

Toni bała się, że Ruth ma uszkodzony kręgosłup. Należało ją jak najszybciej unieruchomić. Jack powinien jej pomóc. Spojrzała w kierunku przodu samolotu. Zbliżał się do niej Henry. Był cały czerwony i bardzo spocony.

- Lutas jest poważnie ranny - powiedział. - Cała prawa strona kabiny pilota została rozdarta.

- Gdzie jest Jack? - Toni niespokojnie rozejrzała się dookoła. Paul pochylił się i wymiotował, a Diaka wciąż siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Nigdzie nie było widać Jacka.

Toni rzuciła się w stronę kabiny pilota. Pamiętała, że Christy siedział tuż przy drzwiach. Nagle go zobaczyła. Tkwił nieruchomo, zaklinowany między fotelem a wygiętymi drzwiami kabiny.

- Boże, Jack! - Przcisnęła się do niego. Przez chwilę myślała, że nie żyje. Był błydy, miał zamknięte oczy, a po czole spływała mii krew. Sprawdziła, czy oddycha. Dotknęła ręką tętnicy szyjnej..Na szczęście wyczuła puls.

- Żyje? - spytał Henry, usiłując dojrzeć Jacka ponad jej ramieniem.

- Tak. - Odetchnęła z ulgą. - Jest tylko nieprzytomny.

- Toni, musimy jak najszybciej wydostać się z samolotu! - Henry potrząsnął jej ramieniem.

- Co takiego? - Nie rozumiała, o co mu chodzi.
- W każdym momencie może wybuchnąć paliwo. Lada chwila możemy zginać.

Początkowo Toni nie wiedziała, co robić. Patrzyła na Henry'ego tępych wzrokiem. Nagle za jego plecami pojawił się William. Nie wiedząc dlaczego, uspokoiła się.

- Pójdę po Lutasa - powiedział krótko William.
- Ale jeśli jest ciężko ranny... - zaprotestowała Toni.
- W każdym razie musimy go usunąć z samolotu - nalegał Henry. - Wszystkich pozostałych również. Zajmę się Christym.

Toni wstała. William zniknął w kabinie pilota, a Henry ukląkł koło Jacka.

- Hilary! - zawołała Toni. - Musisz mi pomóc zająć się Ruth. Boję się, że ma uszkodzony kręgosłup. Nie powinna się ruszać, ale nie może tu zostać. Paul! - Toni spojrzała na niego. Wstał z fotela i przyciskał do ust chusteczkę.
- Dobrze się czujesz?

Gdy Paul kiwnął głową, Toni zainteresowała się Diaka. Na szczęście Murzynka się ruszyła. Stała lekko pochylona do przodu, osłaniając ramionami brzuch. Jej postawa wydała się Toni nieco dziwna, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

- Pomóż jej, Paul - poleciła młodemu mężczyźnie.

Paul był bły jak ściana, ale posłusznie kiwnął głową. Na szczęście obyło się bez paniki. Wszyscy spokojnie robili to, co do nich należało.

Drzwi samolotu były zablokowane, ale mężczyźni wspólnymi siłami jakoś je otworzyli. Musieli do tego użyć siekiery strażackiej.

Toni i Hilary usztywniły plecy Ruth jak mogły najlepiej. Skorzystały przy tym z jej własnego skózanego pasa. Razem zaniósły ją do drzwi i podały Henry'emu i Paulowi, którzy już czekali na zewnątrz.

Henry wyniósł już z samolotu Jacka i położył na trawie pod drzewem, w bezpiecznej odległości od Dakoty.

Obaj mężczyźni uważnie ponieśli Ruth i posadzili ją pod tym samym drzewem.

Toni chwyciła swój plecak i torbę z lekarstwami Jacka, po czym wyskoczyła z samolotu i pobiegła za Hilary.

Były już przy drzewach, gdy Hilary odwróciła się i uniosła dłoń, aby osłonić oczy od słońca.

- Patrz! - krzyknęła. - William wyciągnął Lutasa!

Toni zatrzymała się i spojrzała we wskazanym kierunku. W drzwiach Dakoty stał William, trzymając Lutasa na rękach niczym dziecko. Nawet z tej odległości widziała podarte spodnie pilota i sączącą się krew.

- Pośpiesz się, człowieku! - krzyknął Henry. - To pudło może zaraz wylecieć w powietrze!

William przez chwilę wahał się, co zrobić. W końcu położył Lutasa na podłodze, wyskoczył z samolotu i wyciągnął rannego pilota za sobą. Henry i Paul pobiegli, żeby mu pomóc.

Toni przyglądała się temu, wstrzymując oddech. Spodziewała się, że lada sekunda Dakota wybuchnie. Stąd wyraźnie widać było wielką dziurę z przodu kadłuba, spowodowaną zderzeniem z grupą ostrych skał w momencie lądowania. Jedno skrzydło było mocno wygięte. Samolot najwyraźniej wpadł w poślizg na trawie i zatrzymał się na kępie drzew i krzewów.

Gdy mężczyźni dotarli do tymczasowego miejsca schronienia pod drzewami, Toni natychmiast zapomniała o samolocie. Musiała zająć się rannym pilotem. Choć zarost niemal całkowicie przesłaniał jego twarz, Toni zauważyła, że jest bardzo blady. Przez chwilę zastanawiała się, czy Lutas żyje; na szczęście udało jej się wyczuć puls. Oddychał płytko i nierówno, ale oddychał.

- Ma zgniecione nogi - powiedziała do Henry'ego,

który przyglądał się pilotowi ponad jej ramieniem. - Drażek zranił go w pierś.

- Z trudem go wyciągnąłem - odezwał się William. Siedział na trawie, opierając się o pień drzewa, i ciężko dyszał.

Toni nerwowo rozejrzała się wokół. Jack Christy wciąż leżał nieprzytomny.

Gdyby on mógł przejąć inicjatywę... Toni czuła na sobie spojrzenia pozostałych. Najwyraźniej oczekiwali, że ona obejmie kierownictwo.

Chwyciła głęboki oddech i przysiadła na piętach. Przecież chciała pokazać, co potrafi! Może tylko nie w tak dramatycznych okolicznościach.

Zerknęła na Hilary, która lekko uniosła brwi, tak jakby czytała w jej myślach.

- Hilary - odezwała się Toni zdecydowanym głosem. - Zaopiekuj się Ruth. Pilnuj, żeby się nie ruszała. Henry, ty pomożesz mi zająć się Lutasem. Muszę go zbadać. Paul... - Toni przyjrzała mu się uważnie. - Usiądź pod drzewem i odpocznij.

- Ale... Nie będę miał lekarstwa... Doktor Christy powiedział, że ma je w Jabhati.

- Tu nie powinieneś mieć ataku - odrzekła Toni. W duchu modliła się, żeby to zabrzmiało przekonująco. Chciała, aby Paul się rozluźnił. - Nie oddychasz teraz wilgotnym i brudnym powietrzem Londynu. - Uśmiechnęła się do niego. - Sam mówiłeś, że od wylądowania w Afryce nie miałeś żadnych kłopotów. Wysoka temperatura najwyraźniej dobrze ci służy.

Teraz zwróciła się do Williama.

- Znasz się na pierwszej pomocy?

Murzyn kiwnął głową.

- Dobrze. Zajmij się doktorem Christy. Ułóż go na płask, głową nieco w dół. Spróbuj go ocucić.

Wszyscy bez słowa protestu posłuchali jej poleceń, uznając jej zawodowe kompetencje.

Przy pomocy Henry'ego Toni rozebrała Lutasa. Teraz mogła go szczegółowo zbadać.

Poważnie zgnieciona lewa noga obficie krwawiła. Obrażenia sięgały kolana. Widać było wyraźnie złamane kości. Prawa noga była w lepszym stanie, rany wydawały się dość powierzchowne.

- Musimy powstrzymać krwawienie. - Toni zerknęła na Henry'ego.

- Turnikiet... - zaczął, ale pokręciła głową.

- Nie, potrzebny jest opatrunek uciskowy... - Rozejrzała się pośpiesznie dookoła. W tym momencie przypomniła sobie o ładunku samolotu.

- Nie, Toni, to wykluczone. - Henry trafnie odgadł jej myśli. Pokręcił głową. - Możemy to zrobić z mojej koszuli.

- To lepsze niż nic, ale...

Nim skończyła, Henry oddał spory kawał materiału i zrobił z niego opatrunek.

- Masz... - powiedział, podając go jej.

Podłożyli kilka kamieni pod nogi Lutasa, tak aby leżały wyżej niż reszta ciała, po czym Toni założyła opatrunek. Na ziemi widać już było czerwoną plamę.

- Toni! - zawołała nagle Hilary.

- Co się stało? - spytała, nie przerywając pracy.

- Ruth strasznie cierpi. Nie mogę jej unieruchomić.

- Spokojnie, Hilary! - odkrzyknęła Toni. - Zaraz tam będę. Henry, pilnuj Lutasa. Przyciskaj opatrunek do rany, dobrze, właśnie tak.

Odnalazła w trawie torbę Jacka z podręcznymi lekarami i szybko ją otworzyła.

- Dzięki Bogu! - odetchnęła. W środku były środki odkażające, morfina, strzykawki i opatrunki. Zerwała się na

nogi i pobiegła do Ruth. Po drodze minęła Christy'ego. William robił wszystko, co tylko się dało w tych warunkach. Pomyślała, że Jackiem zajmie się później. Teraz była kolej na Ruth.

Nim ukłękła koło niej, zauważyła jeszcze, że Diaka siedzi nieruchomo pod drzewem, nie zwracając uwagi na pozostałych. Wpatrywała się w dal, a z jej twarzy nie sposób było odczytać żadnych myśli. Toni przez chwilę zastanawiała się, co musiałyby się zdarzyć, żeby Murzynka straciła panowanie nad sobą. Jak dotychczas nic nie robiło na niej wrażenia.

Zaraz jednak zapomniała o dziewczynie. Musiała skupić się na Ruth. Na podstawie wcześniejszych doświadczeń, Toni oczekiwała nieustannego potoku wyrzekali. Jednak Ruth milczała. Była bardzo blada i najwyraźniej cierpiała.

Toni dokładnie ją zbadała, starając się unikać zbędnych ruchów. Pod koniec odetchnęła z ulgą.

- Co jej jest? - spytała Hilary.

- Zwichnęła ramię - wyjaśniła Toni. - Już się martwiłam, że skreśliła sobie kark.

- Co zamierzasz?

- Na razie zrobię jej zastrzyk znieczulający. - Otworzyła torbę Jacka i wyciągnęła jednorazową strzykawkę oraz ampułkę morfiny. - Hilary, rozepnij jej spódnicę - poleciła, nabierając lekarstwo do strzykawki.

Gdy Hilary rozpiniała guziki, Ruth poruszyła się i jęknęła.

- Spokojnie, Ruth - szepnęła Hilary.

Toni wzięła watkę i nasączyła ją spirytusem znalezionym w torbie.

- Zrobię ci zastrzyk przeciwbólowy - powiedziała do Ruth, pocierając jej udo. - Spróbuj się teraz rozluźnić... To nie będzie bolało, tylko lekkie ukłucie... Gotowe.

Ruth zaszlochała, po czym znów zaczęła jęczeć, ale po paru minutach uspokoiła się i zasnęła.

- No, z nią mamy na razie spokój - mruknęła Toni.

- Co z Lutasem? - spytała Hilary. Spojrzała w tamtą stronę. Henry wciąż klęczał przy rannym pilocie.

- Stracił dużo krwi. Trudno powiedzieć, jak poważne są obrażenia.

- Zrobiłaś mu zastrzyk? - Hilary zerknęła na strzykawkę.

- Jeszcze nie - odparła Toni. - Na razie jest nieprzytomny. Jak się ocknie, będzie solidnie cierpiał.

- A co z Jackiem? - Hilary odwróciła głowę, ale trawa zasłaniała widok.

- Wciąż jest nieprzytomny. Muszę się nim zająć. - Toni ciężko westchnęła. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie beznadziejność całej sytuacji. - Boże, gdybym mogła dostać się do tych zapasów lekarstw! Nie wiem, co tam jest, ale teraz nie mam prawie nic! Brakuje nam wody...

- Poczekaj, weź to. - Hilary nagle otworzyła plecak i wyciągnęła plastikową butelkę. - Jeszcze trochę zostało.

- Dziękuję. - Toni wstała. Przez kilka sekund rozglądała się dookoła. Wylądowali na sawannie. Wszędzie widać było kępy krzewów i drzew. W dali, za drzewami, na których zatrzymała się Dakota, wznosiło się strome zbocze góry.

Było już późne popołudnie, ale słońce w dalszym ciągu prażyło niemiłosiernie. Toni przesunęła kapelusz do tyłu i wierzchem dłoni wytarła pot z czoła. Przez chwilę patrzyła na rozpalone do białości afrykańskie niebo. Osłoniła oczy, żeby lepiej widzieć i wtedy dostrzegła krążące w pobliżu wielkie, czarne ptaki. Cała zadrzała.

Hilary spojrzała w tym samym kierunku.

- Sępy - szepnęła ochryple.



- Aha - mruknęła ponuro Toni, po czym westchnęła głęboko. - Nie masz się czym martwić. Sępy i tak jedzą tylko trupy. Nie dopuszczę do tego, aby tu znalazły pożywienie.

Energicznym krokiem podeszła do Henry'ego i Lutasa.

- Jak krwotok?

- Myślę, że już ustaje - powiedział Henry, unosząc głowę. Toni zauważyła, że jego łysawa czaszka nabrała czerwonego koloru. Henry ostrożnie usunął kompres.

- Możesz go jeszcze popilnować? Chciałabym zająć się Christym.

- Oczywiście - odrzekł. - Co z Ruth? - spytał zaniepokojony, nim Toni zdążyła odejść.

- Sporo wycierpiała, ale to nic strasznego. Bałam się, że będzie gorzej. Zwicnęła ramię.

- To okropne!

- Owszem, ale lepsze niż skręcony kark, a tego właśnie się obawiałam. Zawołaj mnie, jak Lutas odzyska przytomność, dobrze? - Toni chciała odejść, ale znów się zatrzymała. - Gdzie twój kapelusz, Henry?

- Co? - Spojrzał na nią zdziwiony, po czym wzruszył ramionami. - Nie wiem, musiałem go gdzieś zgubić. Pewnie został w samolocie.

- Masz czerwoną skórę na głowie.

- Nie martw się o mnie, są poważniejsze problemy - odrzekł ponuro.

- Nie potrzebuję jeszcze jednego. Możesz dostać udaru. - Zdjęła z szyi biało-czerwona chustkę i podała ją Henry'emu. - Nakryj głowę.

Mruknął coś w odpowiedzi, ale wziął chustkę. Toni raz jeszcze spojrzała na Lutasa, który poruszył się niespokojnie, po czym pośpieszyła do Christy'ego. Podniosła go i posadziła pod drzewem.

Mimo opalenizny twarz Jacka wydawała się bardzo bla-

da. Miał ranę głowy; krew spływała po policzku i zatrzymywała się w zaroście, który już pokrył jego brodę. Wokół rany kręciły się liczne muchy.

Jack jęknął i uniósł powieki. Najwyraźniej wracał do przytomności. Toni odetchnęła z ulgą.

Ostrożnie odkręciła korek butelki z wodą i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie ma czym przemyć jego rany i twarzy. Wyciągnęła koszulę ze spodni, rozpięła dwa guziki i zwilżyła materiał, po czym pochyliła się nad nim. Lewą ręką podtrzymała głowę Jacka, a prawą zaczęła zmywać z jego twarzy krew i brud. Czuła pod palcami twarde mięśnie jego karku.

Rana na głowie okazała się płytsza, niż myślała. Wydawała się czysta. Krwawienie już ustało, na brzegach rany powstały skrzepy. Toni starannie przemyła cięcie. Dobrze wiedziała, że w takich warunkach łatwo o zakażenie.

W pewnej chwili zauważyła, że Jack otworzył oczy. Patrzył na nią zupełnie zaskoczony.

- Witamy w naszym gronie - powiedziała cicho.

Zmarszczył brwi i kilka razy zamrugał. Oderwał wzrok od jej twarzy i rozejrzał się wokół. Toni poczuła, jak jego ciało sztywnieje.

- Co się stało? - spytał ochryłym głosem.

- Lutas wylądował, ale mieliśmy wypadek - wyjaśniła.

Wciąż pochyliła się nad nim i podtrzymywała jego głowę.

- Jest poważnie ranny. Ty straciłeś przytomność.

- A inni? - W oczach Jacka pojawił się niepokój.

- Ruth ma zwichnięte ramię... Znalazłam w twojej torbie morfinę i zrobiłam jej zastrzyk... Pozostali... zszokowani, ale poza tym nic poważnego. Najbardziej ucierpiał Lutas. Jego nogi są w kiepskim stanie. Zrobiłam mu prymitywny opatrunek uciskowy... Nie miałam nic innego, musieliśmy szybko opuścić samolot, bo mógł wybuchnąć...

Jack przez chwilę patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, tak jakby miał kłopoty ze zrozumieniem jej słów.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko jest wciąż w samolocie? - zapytał wreszcie.

- Z wyjątkiem bagażu podręcznego i twojej torby lekarskiej. Złapałam ją w ostatniej chwili.

Toni myślała, że Jack będzie zadowolony z jej szybkiej orientacji, ale on nic nie odpowiedział, tylko spróbował wstać. Na próżno. Po paru sekundach zwałił się na trawę obok drzewa.

- Co się stało?

- Mam rozumieć, że zostawiliście w samolocie również kanister z wodą?

- No, tak. Pewnie tam został.

- Skąd zatem masz wodę? - Spojrzał na butelkę, którą Toni trzymała w ręce.

- Och, Hilary miała ją w plecaku. - Toni spuściła wzrok. Nagle uświadomiła sobie, że gdy korzystała ze swojej koszuli w charakterze gąbki, odsłoniła brzuch i niemal cały stanik. Jack patrzył na nią z wyraźnym niedowierzaniem.

- Zatem to nasz cały zapas wody? - spytał.

- Tak... - Kiwnęła głową. - Chyba tak.

- Do diabła, czemu ją zatem marnujesz?! - wybuchnął.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- O co ci chodzi? - oburzyła się Toni. - Wcale nie marnuję wody. Jeśli o tym nie wiesz, to informuję cię, że masz ranę na głowie, którą muszę przemyć.

- Daj spokój - odrzekł krótko Christy.

- Przecież łatwo może się wdać zakażenie...

- Powiedziałem, żebyś przestała.

- I tak niewiele zostało. - Toni podniosła do góry niemal pustą butelkę. - Nie ma się o co kłócić.

- W tym kraju liczy się każda kropla. Radzę ci dobrze to sobie zapamiętać.

- Wiem, ale uważam, że zużyłam wodę w uzasadnionym celu.

Zachowanie Jacka rozgniewało Toni. Uznała, że jest niewdzięczny. Odsunęła się nieco i przykucnęła. Christy z trudem wstał.

- Przypomnę ci to, gdy będziesz marzyć o czymś do zwilżenia ust, nie mówiąc już o picciu. - Jack przez chwilę stał, chwiejąc się na nogach. Mierzył Toni ostrym spojrzeniem.

- Z pewnością do tego nie dojdzie - odpowiedziała. Osłoniła dłonią oczy i podniosła głowę, aby móc dojrzeć jego twarz.

Christy wzruszył ramionami i jednocześnie skrzywił się, tak jakby ten prosty gest sprawił mu ból.

- Kto wie? Ludzki los w tym kraju jest zupełnie nieprzewidywalny. Inaczej jest ze zwierzętami. One wiedzą,

czego się mają spodziewać... - Jack zmrużył oczy i rozejrzał się dookoła. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie się znaleźli. Przyjrzał się kolejno wszystkim pasażerom, zgromadzonym pod kolczastymi drzewami, i uszkodzonej Dakocie. - Gdzie jest Diaka? - spytał wreszcie.

- Tam. - Toni wskazała ręką drzewo, pod którym usiadła Murzynka. Poczowała nagły przypływ irytacji, że Jack najpierw zainteresował się właśnie tą dziewczyną, która nic nie zrobiła, aby komukolwiek pomóc i w dalszym ciągu wykazywała całkowitą obojętność.

- Nic się jej nie stało?

- Chyba nie - odparła krótko Toni. - Martwię się raczej o Lutasa, no i oczywiście o Ruth... - dodała, chcąc szybko dokończyć.

Ale on nie zwracał już na nią uwagi. Uniósł głowę i zaczął uważnie nadśłuchiwać. Lekki wiatr podniósł kłęb kurzu. Toni chciała mówić dalej, ale on uciszył ją gestem.

- Co takiego? - szepnęła po chwili. - Czego tak nadśłuchujesz?

- To lew - odrzekł krótko.

- Lew?! - Oczy Toni wyraźnie się rozszerzyły. - Tutaj?

- Oczywiście. - Jack uniósł jedną brew. - Czego się spodziewałaś? Jesteśmy w sercu Afryki. Lwy były tu przed nami.

- Wiem - wymamrotała. Nagle poczuła się jak idiotka.

- Muszę porozmawiać z Lutasem - mruknął Jack, bardziej do siebie niż do niej.

- Chyba jeszcze nie oprzytomniał. - Toni zerwała się na nogi. Rozejrzała się podejrzliwie dookoła. Teraz bała się, że lew może wyskoczyć zza byle krzaka. Szybkim krokiem ruszyła za Jackiem. Dopóki on o tym nie wspomniał, nawet nie pomyślała o zagrożeniu ze strony dzikich zwierząt, co oczywiście powinna była wziąć pod uwagę. Wylądowali przecież w buszu, z dala od ludzkich osiedli.

Przebyli bez żadnych przygód kilkanaście metrów dzielą-

cych ich od Lutasa. Gdy Henry uniósł głowę i zobaczył przytomnego Jacka, w jego oczach Toni dostrzegła ogromną ulgę.

- Dobrze się czujesz, doktorku? - spytał. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda z chustką Toni na głowie.

- Tak, dziękuję. - Jack kucnął obok Lutasa, który wydawał się półprzytomny.

- Nie jestem pewny, czy krwotok ustał - powiedział Henry, prostując plecy. Trzymając opatrunek, przez cały czas pochylał się nad rannym.

- Zaraz sprawdzimy. - Jack uniósł opatrunek i przyjrzał się ranie. - Tak, już ustaje - potwierdził po chwili.

- Hej, stary - pozdrowił Lutasa, który właśnie otworzył oczy.

Toni zauważyła, że twarz Lutasa wyraźnie zszarzała. W tym momencie ktoś zasłonił słońce. Wszyscy unieśli głowy i zauważyli górującą nad nimi potężną postać Williama Batouali. Patrzył na nich z wyraźną troską.

- Doktorze Christy...

- Tak, William? - Jack zmarszczył brwi.

- Wkrótce zapadnie zmrok.

- Wiem o tym.

- Musimy pomyśleć o jakimś schronieniu.

- Masz jakieś propozycje? - Jack wstał i zwrócił się do Murzyna, ale odpowiedź nadeszła z dołu.

- Samolot to najlepsze schronienie - odezwał się Lutas. Najwyraźniej był to dla niego wielki wysiłek. Wszyscy spojrzeli na niego. Lutas znów zamknął oczy.

- Przecież to wykluczone - odezwał się Henry. - Samolot może wybuchnąć.

- Poczekać, aż silniki wystygną... - jęknął Lutas. - Za godzinę lub dwie... Sprawdźcie zbiorniki z benzyną. W środku będziemy bezpieczni.

- Dzięki, stary - łagodnie odpowiedział Jack. - Teraz już leż spokojnie.

- Chcecie powiedzieć, że niepotrzebnie wyciągnęliśmy wszystkich z samolotu? - wybuchnął Henry.

- Skąd! - Lutas z wysiłkiem pokręcił głową. - Przecież w każdej chwili mogliśmy wylecieć pod niebiosa. - Spróbował unieść ramiona, aby to zademonstrować, ale tylko jęknął z bólu.

- Daj mi torbę - Jack zwrócił się do Toni. - Zrobię mu zastrzyk przeciwbólowy. - Szybko wyciągnął strzykawkę i ampułkę morfiny, taką samą, jaką Toni dała Ruth. - Lutas, stary, nim cię znokautuję, czy możesz mi zdradzić, gdzie właściwie jesteśmy? - spytał, jednocześnie przygotowując zastrzyk.

- Nie jestem pewien. - Lutas z trudem pokręcił głową. Ciężko oddychał. - Zeszliśmy daleko z kursu. Gdzieś w północno-zachodniej Tanzanii. Może już w Serengeti. Nie wiem... bardzo mi przykro, przyjaciele.

- Nie przejmuj się, stary... Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Dzięki tobie przeżyliśmy. - To mówiąc, Jack zrobił mu zastrzyk w udo. - Teraz odpocznij. Później pomyślimy o jakichś szynach.

Gdy Lutas zasnął, zaczął dokładnie badać jego obrażenia. W pewnym momencie William dotknął jego ramienia.

- O co chodzi?

- Diaka. Proszę iść do niej - powiedział William, wskazując palcem kierunek.

- Słusznie. - Jack wstał z kłęczek.

- Chciałabym, abyś również zbadał Ruth - szybko wtrąciła Toni.

- Nie możesz sama się nią zająć? - spytał chłodno.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Henry wyczuł sytuację i zdecydował się na interwencję.

- Toni zachowywała się wspaniale, Jack - powiedział.

- Wszystko zorganizowała. Gdyby nie ona, to Lutas wykrwawiłby się na śmierć.

- Tego się właśnie po niej spodziewałem - spokojnie oświadczył Jack. - Toni jest lekarzem.

- Wiem - prychnął niecierpliwie Henry. - Ale jest też człowiekiem i tak samo jak my przeżyła katastrofę. Uważam, że była zupełnie nadzwyczajna.

- Masz rację. - Głos Jacka nieco zmiękł.

Toni pomyślała, że wołałaby, aby Henry siedział cicho. Nie potrzebowała, żeby ją wychwalał, i to przed Christym.

- Jeśli pozwolicie, chciałbym zobaczyć, jak się czuje Diaka - oznajmił Jack, nasuwając kapelusz na czoło.

- Henry, ty zostań z Lutasem. Pilnuj, czy krwawienie się nie wzmacnia. William, ty idź do samolotu i sprawdź, czy zbiorniki nie ciekną. Weź ze sobą Paula. Jak będzie miał co robić, przestanie myśleć o astmie. - Urwał i spojrzał na młodego mężczyznę. Paul siedział pod drzewem z twarzą ukrytą w dłoniach. - Toni, ty zajmij się Ruth. Zaraz do was przyjdę.

Po wydaniu tych dyspozycji oddalił się. Szedł długimi, elastycznymi krokami. Najwyraźniej odzyskał już siły po wypadku. Automatycznie przejął kierownictwo, co sprawiło Toni ogromną ulgę. Przez jakiś czas pod wpływem napięcia działała energicznie i z wielką pewnością siebie, ale teraz, gdy szła do Ruth, ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie może zapanować nad wewnętrznym dygotem.

- Co się stało? - niespokojnie spytała Hilary. Jej okrągła twarz lśniła od potu.

- Wszyscy wracamy do samolotu - powiedziała Toni. - Okazuje się, że gdy silniki ostygną, będziemy tam bezpieczni - wyjaśniła, widząc na twarzy Hilary grymas zdziwienia. - William i Paul właśnie sprawdzają, czy benzyna nie wycieka. Co z Ruth?



- Została wyliczona - uśmiechnęła się Hilary. - Nie wiem, co jej dałaś, ale udało ci się ją znokautować.

- Doskonale. Mam nadzieję, że nastawimy jej ramię, nim się obudzi. - Urwała na chwilę. - A jak ty się miewasz, Hilary?

- Ja? Doskonale. Nigdy nie czułam się lepiej. Gdyby jeszcze nie te cholerne muchy... - dodała, oganiając się od kłębiących się wokół czerwonobrazowych, wielkich much.

- Niezła przygoda, prawda?

- Hm, większość z nas pewnie wolałaby jej nie przeżyć - odrzekła Toni.

- Jak myślisz, co będzie dalej? - spytała nagle Hilary.

Toni rzuciła jej szybkie spojrzenie. Z twarzy przyjaciółki zniknął uśmiech. Teraz wydawała się zaniepokojona.

- O co ci chodzi? - zawahała się Toni. Chciała zyskać chwilę do namysłu.

- No, co z nami będzie? Wydaje mi się, że samolot nie nadaje się do lotu.

Instynktownie obie spojrzały w stronę srebrzystej Dakoty.

- Skrzydło jest poważnie wygięte - ciągnęła Hilary.

- Zresztą, jeśli nawet nadawałby się do użytku, trudno byłoby to powiedzieć o Lutasie. A może się mylę? - dodała z odrobiną nadziei w głosie.

- Nie, nie mylisz się. - Toni pokręciła głową. - Lutas jest poważnie ranny.

- Natomiast Jack Christy już chyba na chodzie - zauważyła Hilary, wykręcając głowę, żeby spojrzeć na Jacka, który kłęczał obok Diaki. - To prawdziwe szczęście.

- Owszem - zgodziła się Toni. - Już doszedł do siebie. Wyobrażam sobie, że jeden cios w głowę to jeszcze za mało, aby go na długo wyeliminować.

- Myślisz, że on potrafiłby poprowadzić samolot?

- Pewnie tak. - Toni skrzywiła się. - Wydaje się zdolny do wszystkiego.

- Nie jesteś chyba jego entuzjastką. - Hilary uniosła brwi.

- Nie o to chodzi... - Toni potrząsnęła głową z irytacją. - Mam wrażenie, że jego zdaniem to ja nigdy nie robię niczego dobrze.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Toni zawahała się. Nie była pewna, czy powinna rozmawiać z Hilary o swym szefie, ale zaraz przypomniała sobie, jak okropnie traktował ją Jack od samego początku ich znajomości.

- Już przy pierwszym spotkaniu właściwie musiałam przeproszać, że jestem kobietą, podczas gdy on wolałby mieć za asystenta mężczyznę. Gdy wyraziłam entuzjazm z powodu przyjazdu do Afryki, poinformował mnie natychmiast, że przyjechałam tu do pracy. Teraz, gdy przemywałam jego ranę tą resztką wody, którą od ciebie dostałam, zrobił mi awanturę, że marnuję wodę. Mam już tego dość. - Westchnęła ciężko. - On zawsze będzie ze mnie niezadowolony.

- Czy on naprawdę tak się przejmuje kwestią wody?

- Hilary zmarszczyła brwi.

- Najwyraźniej. Powiedział mi, że w tym kraju liczy się każda kropla.

- No, właściwie ma rację... ale... - Hilary nie dokończyła zdania.

- Ale co? - Toni rzuciła jej ostre spojrzenie. - O czym myślisz, Hilary?

- Po prostu zastanawiam się, jak długo, jego zdaniem, będziemy tu czekać... - Hilary przygryzła wargi. Obie uniosły głowy i przyjrzały się krążącym sępom.

- Och, daj spokój! - wybuchnęła wreszcie Toni. - Nie możemy poddawać się czarnym myślom, musimy zachować optymizm. Mam nadzieję, że teraz uda się uruchomić radio i będziemy mogli wezwać pomoc.

- Jack tu idzie - szepnęła Hilary.

Jack właśnie wstał i ruszył w ich kierunku. Gdy się zbliżył, pozdrowił ją skinieniem głowy.

- Dobrze się czujesz? - spytał krótko. Gdy Hilary przytaknęła, natychmiast ukląkł obok Ruth i zaczął ją badać. Z wprawą obmacał jej kark i ramiona, po czym spojrzał na Toni. - Masz rację - powiedział. - Zwicnęła ramię. To chyba właściwa pora, żeby je nastawić.

- Też tak myślę - zgodziła się Toni.

- Czy chcesz, abym ci pomógł?

- Ja mam to zrobić? - Toni spojrzała na niego zupełnie zaskoczona. Ani przez chwilę nie przypuszczała, że Jack pozwoli jej dokonać zabiegu. Zauważyła, że Hilary patrzy na nią z rozbawieniem.

- Czemu nie? Oczywiście, jeśli uważasz, że potrafisz.

- Oczywiście, że tak - mruknęła. - Robiłam to już w przeszłości.

- Dobrze. Ja ciągnę, ty nastawiasz.

Jack wstał, chwycił ramię Ruth i ustawił we właściwej pozycji. Gdy to robił, kobieta poruszyła się niespokojnie i na chwilę otworzyła oczy. Toni wiedziała, że muszą się śpieszyć. Ukląkła obok Ruth i delikatnie ujęła jej ramię. Uważnie odszukała palcami obie części stawu. Spojrzała Jackowi w oczy.

- Gotowa? - spytał. Kiwnęła głową. Jack mocniej ścisnął ramię poszkodowanej. - Teraz!

Rozległ się trzask i kości znalazły się na swoim miejscu. Pod wpływem bólu Ruth przebudziła się i zaczęła jęczeć.

- Już dobrze, Ruth - łagodnie powiedział Jack, głaszcząc ją po głowie tak, jakby była małym dzieckiem. - Już po wszystkim. Zaraz zrobimy jakiś temblak. Tak będzie ci wygodniej.

- Boże! - jęczała Ruth. - Co się ze mną dzieje?

- Zwicnęłaś ramię - wyjaśnił Jack. - Doktor Nash już

ci je nastawiła. - Urwał, bo zbliżył się do nich Paul. - O co chodzi?

Paul zawahał się i spojrział niespokojnie na Ruth. Najwyraźniej nie wiedział, co się tu wydarzyło.

- William powiedział, że zbiorniki są całe - oznajmił wreszcie, nie spuszczać wzroku z kobiety. - Nie było żadnego przecieku.

- Dobrze. - Jack posadził Ruth pod drzewem, po czym wstał i spojrział na niebo. - Mamy jeszcze jakieś dwie godziny do zmroku. Paul, ty i William poszukacie czegoś na szynę dla Lutasa.

Mężczyźni odeszli.

- Mam wrażenie, że wreszcie coś dobrze zrobiłaś - zauważyła Hilary ironicznie.

- Co masz na myśli? - Toni zmarszczyła czoło.

- Przecież mówiłaś, że nigdy nie uda ci się go zadowolić - przypomniała jej Hilary. - Wydaje mi się, że nieźle sobie poradziłaś z tym ramieniem.

- To należy do mojego zawodu.

- W każdym razie mnie zaimponowałaś - zdecydowanie oświadczyła Hilary. - Myślę, że jemu również.

- Och, nie mam złudzeń - zaśmiała się Toni. - To dla niego rzecz bez znaczenia. Z pewnością uważał, że powinienam to umieć.

- Naprawdę wykonywałaś już taki zabieg? - zainteresowała się Hilary.

- Na szczęście tak. Całkiem niedawno, gdy pracowałam w pogotowiu. Boję się myśleć, co powiedziałyby Christy, gdyby się okazało, że nie potrafię nastawić ramienia. - Toni lekko zadrżała. - Nigdy nie pozwoliłby mi o tym zapomnieć.

Nie mieli czasu na dalsze spekulacje. Jack przydzielił każdemu robotę. Wszyscy posłusznie wykonywali jego polecenia.

Toni wróciła do samolotu. Jack odbił drewniane pokrywy ze skrzyń z lekarstwami, a ona zajęła się ich rozpakowaniem. Przekonała się, że zawierają głównie materiały opatrunkowe, strzykawki, narzędzia chirurgiczne, natomiast lekarstw było bardzo mało. Znalazła dużą, kwadratową gazę, nadającą się na temblak dla Ruth. Poszła do niej, aby zabezpieczyć jej ramię.

- Teraz powinno ci być wygodniej - powiedziała, wzmacniając węzeł agrafką. - Nie wstawaj - powstrzymała ją. - Zawołam dwóch mężczyzn, żeby cię przenieśli.

Rozejrzała się wokół. Właśnie zbliżała się do nich Hilary. Jack, Paul i William zgromadzili się wokół Lutasa.

- Co się tam dzieje? - spytała Toni.

- Drobną improwizacją. William i Paul rozebrali dwa fotele z samolotu i teraz Jack próbuje zrobić szyny z rur oparcia - wyjaśniła Hilary.

Minęła godzina, nim Lutas i Ruth znaleźli się w samolocie.

- Chciałabym się czegoś napić - oświadczyła Ruth, gdy Paul i Henry delikatnie posadzili ją na fotelu. Kurczowo chwyciła rękę Toni, która spojrzała pytająco na Jacka. Ten kiwnął głową przyzwalająco. Toni szybko odkręciła korek butelki Hilary i nalała nieco wody do kubka. Ruth wypła wszystko, do ostatniej kropli.

- Myślę, że to dobry moment, aby pomyśleć o racjonowaniu wody - powiedział Jack.

- Racjonowanie wody? - Paul poderwał głowę. - Na litość boską, jak długo będziemy tutaj tkwić?

- Nie wiemy, Paul - spokojnie odrzekł Jack. - Na tym właśnie polega problem.

- Przecież to nie może trwać długo. - Paul wydawał się zdesperowany. - Henry próbuje uruchomić radio. Gdy mu się to uda, zawiadomimy władzę i ktoś po nas przyleci,

- Chyba już nas szukają? - spytała Hilary z nadzieją.

- Z pewnością ktoś zawiadomił władze, że nie przyjechaliliśmy do Jabhati.

- Masz absolutną rację. - Jack nie tracił opanowania.

- Jestem pewny, że już rozpoczęła się akcja ratunkowa. Problem polega na tym, że nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Nawet jeśli uruchomimy radio, nie będziemy w stanie dokładnie określić naszej pozycji. Chwilowo pewne jest tylko, że będziemy tu nocować, zatem powinniśmy się do tego przygotować.

- Och, Boże - jęknęła Ruth.

- Następnym zadaniem jest określenie położenia. Henry, czy mógłbyś sprawdzić radio? Wydaje mi się, że znasz się na tym trochę.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Henry kiwnął głową.

- Kolejnym ważnym problemem jest woda - ciągnął Jack. - Woda i żywność. Mam nadzieję, że wszyscy zdajecie sobie sprawę - powiedział, rozglądając się wokół - że możemy przetrwać jakiś czas bez jedzenia, natomiast bez wody długo nie wytrzymamy.

- Jest rezerwowy zbiornik - zaczął Paul. Wszyscy spojrzeli na plastikowy kanister w tyle kabiny.

- Oczywiście - przyznał Jack. - Mamy tam w przybliżeniu litr wody na głowę.

- Dzięki Bogu i za to. - Paul odetchnął z ulgą.

- Mimo to wodę musimy racjonować - upierał się Jack.

- Nie wiemy przecież, jak długo będziemy musieli tu wytrzymać.

- Na litość boską, przecież to nie może długo trwać!

- ochryple szepnęła Ruth. - Gdy mój mąż się dowie, że zginęłam, zorganizuje największą akcję ratunkową w dziejach!

- A może się ucieszy - mruknął pod nosem Paul. Hilary dosłyszała jego komentarz i zachichotała nerwowo. Toni skarciła go spojrzeniem.

- O ile wiem - ciągnął Jack - nie mamy dużo jedzenia. Chciałbym teraz, abyście przeszukali bagaże. Musimy połączyć nasze zasoby. Proszę o wszystko, co macie: każdą tabliczkę czekolady, każde pudełko herbatników. Wszyscy muszą mieć swoje pojemniki na wodę. Toni, ty i Hilary zajmiecie się jedzeniem i wodą.

Toni kiwnęła głową i wstała, ale Jack jeszcze nie skończył. Gestem nakazał jej, aby poczekała.

- Musicie wszyscy lepiej się ubrać. Szorty i podkoszulki są raczej wykluczone. Proszę włożyć spodnie i koszule z długimi rękawami. Wprawdzie w Tanzanii nie ma tyle komarów co w Nairobi, ale nie można ryzykować. Zresztą po zmroku zrobi się zimno, więc lepiej przygotujcie dresy lub swetry.

Jack przerwał i rozejrzał się wokół. Zatrzymał wzrok na Williamie, który siedział na podłodze, opierając głowę na kolanach.

- William, ty i Paul wykopiecie latrynę. Weźcie siekiere, posłużą wam jako kilof. Możecie rozbić jedną skrzynkę i zrobić szpadle z desek. Wykopicie ją za samolotem.

- Jack urwał i znów rozejrzał się dookoła. - Skoro już o tym mowa, to proszę, żeby żadna z pań nie chodziła tam bez eskorty, czy to jasne?

Toni i Hilary przytaknęły. Ruth wydawała się bardziej zmartwiona prymitywnymi warunkami niż ewentualnym niebezpieczeństwem ze strony dzikich zwierząt.

- Co z myciem? - spytała.

- To niemożliwe - odparł Jack tonem wykluczającym dyskusję. - No, bierzmy się do roboty, nim się ściemni.

Paul wstał pierwszy. Ostatnie promienie słońca odbiły się od jego okularów.

- Gdzie jest Diaka? - spytał, tak jakby nagle uświadomił sobie, że dziewczyny nie ma w samolocie.

- Siedzi na zewnątrz - szybko odpowiedział Jack.  
- Nic jej nie jest.

- Ale czy ona nie powinna też tego wszystkiego wysłuchać? - prychnęła Ruth. - Sądzę, że do niej stosują się te same reguły.

- No, ona nie zna angielskiego - odpowiedziała powoli Hilary. - Muszę jednak przyznać, że moim zdaniem Diaka powinna przynajmniej spróbować przyłożyć się do pracy, tak jak my wszyscy.

Toni zerknęła na Jacka. Zauważyła, że mocno zacisnął usta.

- Jack - zaczęła z wahaniem - powiedziałaś, że Diaka jest chora. Mógłbyś wyjaśnić, co jej dolega?

Wszyscy słuchali z zaciekawieniem.

Jack przez chwilę milczał, po czym najwyraźniej podjął decyzję. Odetchnął głęboko.

- Zapewne wprowadziłem was nieco w błąd, gdy wspomniałem, że Diaka jest chora - powiedział. - Ściśle mówiąc, jest zdrowa. Natomiast nie może, jak to powiadacie, przyłożyć się do pracy, ponieważ jest w dziewiątym miesiącu ciąży. Do porodu zostały dwa tygodnie.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Oczywiście! Powinna sama zgadnąć. Z pewnością domyśliłaby się prawdy, gdyby tylko zastanowiła się nad oczywistymi faktami: obszerna szata, której nie zdjęła mimo upału, sposób, w jaki trzymała się za brzuch po wypadku, nie z bólu, lecz by chronić nie narodzone dziecko.

W kabinie zapadła cisza. Wszyscy, z wyjątkiem Williama, patrzyli na Jacka zupełnie zaskoczeni. William po prostu kiwał głową.

- Przecież ona sama jest jeszcze dzieckiem! - przerwał ciszę Henry. - Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Gdybym powiedział, Lutas nie zgodziłby się jej zabrać - wyjaśnił szczerze Jack. - To zbyt ryzykowne.

- Możesz to sobie powtórzyć - wtrąciła Hilary.

- Jak ona się czuje? - spytała Toni. Stopniowo docierały do niej wszystkie konsekwencje tego faktu.

- Jak można się było spodziewać, jest zszokowana. - Jack wzruszył ramionami. - Dlatego chciałem, aby miała spokój.

- Jeszcze tego nam brakowało! - krzyknęła Ruth. - Jeśli zacznie rodzić, będziemy potrzebować wielu litrów ciepłej wody.

- Wydaje mi się, że to przesadna ocena - oschle odparł Jack. - Z całą pewnością będziemy musieli jej pomóc.

- Spojrzał na Toni. - Znasz się na położnictwie?

- Nieźle - odpowiedziała. - Ostatnio pracowałam na oddziale porodowym.

- Doskonale - ucieszył się. - Może w takim razie porozmawiaj z nią i wytłumacz, że pomożesz jej przy porodzie.

Wszyscy wstali i zabrali się do roboty. Toni wysiadła z samolotu i podeszła do drzewa, pod którym siedziała Diaka, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w dal.

Wielkie, pomarańczowe słońce wisało już nisko nad horyzontem. Głowa dziewczyny, widoczna na tle czerwonego nieba, wyglądała jak rzeźba z hebanu. Gdy Toni kucnęła obok, Diaka nawet nie mrugnęła.

- Hej, Diaka - powiedziała Toni, ujmując jej dłoń. Gdy dziewczyna nie odpowiedziała, Toni drugą ręką dotknęła jej brzucha. Mimo płaszcza, bez trudu wyczuła ciążę.

Murzynka odwróciła głowę i spojrzała na nią. W jej wielkich oczach wyraźnie widać było strach. Zrozumiała, że wszyscy już znają jej sekret.

- Nie martw się, Diaka - uspokajała ją Toni. - Pomogę ci. Wszystko będzie dobrze.

Diaka zapewne nie rozumiała tych słów, ale sam łagodny ton głosu sprawił, że z oczu dziewczyny zniknął strach. Pozwoliła się podnieść i poprowadzić do samolotu.

Gdy zbliżyły się do Dakoty, zauważyły, że Jack zgromadził wielki stos drewna, zapewne na ognisko. Z zarośli wynurzyli się właśnie William i Paul. Obaj nieśli deski ze skrzyni; rzucili je na stos.

Bez jednego słowa William i Jack pomogli Diace wejść do samolotu. W środku czekała na nią Hilary. Dała jej pić z plastikowego kubka, który Ruth znalazła w jej bagażu.

- Wydaje mi się, że wszyscy już mają pojemniki na wodę - powiedziała. - Niektóre lepsze, niektóre gorsze - dodała, podając Paulowi puszkę po coca-coli. - Lepsze to niż nic. Będę tym mierzyć wodę, w ten sposób wszyscy będą dostawali tyle samo. - Hilary podniosła do góry niewielki plastikowy kubeczek, tak aby wszyscy mogli go

zobaczyć. - Według Jacka i mnie to jakieś dwie trzecie szklanki. Każdy dostanie dwa kubki dziennie.

- Sami decydujecie, co z tym zrobicie - odezwał się Jack, który nagle pojawił się w drzwiach samolotu. - Usilnie radzę oszczędzać. Pijcie po kropelce, nie wszystko naraz.

- Co mamy do jedzenia? - spytała Torii.

- Niewiele - skrzywiła się Hilary. - Jak dotychczas, tylko słodycze. Trzy paczki biszkoptów, dwa jabłka i banana.

- Sprawdziłaś w kabinie pilota? - spytał Jack.

- Nie - pokręciła głową Hilary. - Sądzisz, że Lutas mógł coś mieć?

- Pewnie tak. - Jack spojrzał na pilota, który jeszcze się nie obudził. - Chodź, sprawdzimy.

W tym momencie w drzwiach kabiny pojawił się Henry, blokując przejście.

- I jak tam radio? - spytał Jack. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na odpowiedź.

- Beznadzieja. - Henry pokręcił głową. - Nie mogę go uruchomić. Chyba zostało uszkodzone przy lądowaniu.

- Nie przejmuj się - energicznie pocieszył go Jack. - Później spróbujesz jeszcze raz. Może znalazłeś w kabinie pilota jakieś zapasy?

- Jest jakieś pudło - powiedział Henry. - Zaraz tam zajrzę.

Zniknął w małym pomieszczeniu, ale po chwili wrócił, niosąc niewielką drewnianą skrzynkę. Otworzył ją z miną magika, który ma właśnie wyciągnąć królika z kapelusza.

- Puszka zupy pomidorowej. Paczka herbatników. Puszka zupy warzywnej. Paczka grzanek...

- Skromna ta żelazna racja - mruknął Paul.

- Lepsze to niż pieczony wąż - zauważył Henry.

- Co to ma znaczyć, jaki pieczony wąż? - zdenerwowała się Ruth.

- Może do tego dojść, gdy skończą się grzanki  
- oświadczył cierpko Henry.

- Co tam jeszcze jest? - spytała Toni. Zauważyła, że gdy Henry ponownie zajął do skrzynki, wyraz jego twarzy nagle się zmienił.

- Jeszcze jeden drobiazg... - powiedział i powoli wyciągnął ze skrzynki rewolwer. Podniósł go w górę, tak by wszyscy widzieli.

Zapadła cisza.

- Lutas brał pod uwagę wszystkie możliwości - mruknął wreszcie Jack.

- Przypuszczam, że musi mieć coś do obrony w razie ataku dzikich zwierząt - zauważył Paul.

- Nie tylko zwierząt - poprawił go William. - Na tym terenie ostatnio pojawili się liczni kłusownicy - wyjaśnił.

- Polują na słonie..To źli ludzie. Lutas musiał mieć coś do obrony.

Pilot poruszył się na posłaniu, tak jakby wiedział, że o nim mowa.

- Musimy zaszyć mu rany - powiedział Jack, zerkając w jego kierunku. - Toni, możesz znaleźć nici i środki opatrunkowe?

Kiwnęła głową i podeszła do ustawionych w rogu skrzyń z zaopatrzeniem dla szpitala.

- Nic nie będziesz widział, Jack - odezwał się Henry.

- Zaraz będzie ciemno.

- W kabinie jest latarka - wyjaśnił Jack. - Mam nadzieję, że bateria wystarczy na czas zabiegu. William, rozpal ognisko. Przysuniemy Lutasa do drzwi. Tak będzie widniej.

Toni niemal po omacku przeszukiwała zawartość skrzyń. W końcu znalazła nici, środki opatrunkowe, narzędzia chirurgiczne i zastrzyki znieczulające.

W międzyczasie William zdążył rozpalic ogień. Jack

i Paul przysunęli Lutasa do drzwi. Henry odszukał latarkę i sprawdził, czy świeci, po czym natychmiast ją wyłączył. Czekał, aż Jack będzie gotów.

- Strasznie prymitywne warunki - zauważyła Toni.  
- Nawet nie można umyć rąk. Na szczęście znalazłam rękawiczki. - Podała mu gumowe rękawiczki chirurgiczne.

- I tak mamy szczęście - odrzekł. - Gdybyśmy nie wieźli tych dostaw, musielibyśmy posłużyć się znacznie prymitywniejszymi środkami. Przygotuj zastrzyk lignocainy. Lutas jeszcze śpi, ale jeśli się obudzi, trzeba będzie znieczulić nogi.

Henry włączył latarkę i oświetlił od góry nogi Lutasa. Jack pochylił się nad pacjentem. Toni przypomniała sobie opisy polowych szpitali, w których podczas wojny chirurdzy wykonywali operacje w jeszcze gorszych warunkach.

Szybko powróciła myślami do rzeczywistości. Wciągnęła rękawiczki i przygotowała strzykawkę. Podczas gdy Jack robił zastrzyk, ona zaczęła czyścić rany tamponami umoczonymi w roztworze antyseptycznym. W miejscach, gdzie ostre kawałki metalu wbiły się w ciało, rany dochodziły do kości. Ich krawędzie były poszarpane, nierówne. Jack już wcześniej złożył złamanie i usztywnił nogę metalowymi rurami. Teraz starał się dokładnie zszyć rany. Toni instynktownie wyczuwała, że miał poważne wątpliwości, jak to się zakończy.

Jack unióśł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Kość piszczelowa zmiażdżona, strzałka chyba połamana. Nie jestem pewien. W tych warunkach nie mogę nic zrobić. Potrzebny jest rentgen i chirurg. - W jego głosie pobrzmiwały bezradność i rozpacz.

- Robisz wszystko, co możesz w danych okolicznościach - odpowiedziała Toni.

Przeglądała się pracy Jacka z uwagą. Szył z wielką wprawą. Włosy opadły mu na czoło; w świetle latarki lśniły

jak złoto. Głębokie cienie podkreślały ostre rysy jego twarzy i zakrzywiony nos. Znow pomyślała, że Jack przypomina jakiegoś drapieżnego ptaka.

Miała wrażenie, że zabieg ciągnie się w nieskończoność. Wreszcie Jack odłożył igłę i wyprostował plecy.

- Koniec - oznajmił. - Nic więcej nie mogę zrobić.

Toni oczyściła szew i założyła opatrunek. Jack z ciężkim westchnieniem ściągnął rękawiczki.

- Czy w skrzyniach są jakieś antybiotyki? - spytał nagle.

- Obawiam się, że nie - odparła Toni. - Już szukałam.

- Powinny być. - Zmarszczył brwi. - Zamawiałem je.

- Ale nie ma. Jak chcesz, mogę jeszcze raz poszukać.

- Nie zwracaj sobie głowy. Ci dostawcy nie są szczególnie solidni. Już wiele razy się zdarzało, że nie realizowali zamówień. - Westchnął ciężko i przeczesał palcami włosy. Toni nagle spostrzegła, że jest bardzo znużony.

Zauważył, że go obserwuje. Odrzucił włosy do tyłu, odsłaniając jednocześnie świeżą ranę. Toni zmarszczyła czoło i przysunęła się bliżej.

- Skoro już zajmujemy się szyciem - powiedziała śmiało - to lepiej będzie, jeśli zszyję ci ranę.

Przez chwilę wydawało się, że Jack się sprzeciwi, ale nie zdążył.

- Świetny pomysł - uprzedził-go Henry. - Pośpiesz się tylko, bo ta latarka nie będzie świecić wiecznie.

Toni szybko wciągnęła czyste rękawiczki i przygotowała opatrunek. Jack usiadł na podłodze i oparł się plecami o drzwi samolotu. Odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Już miała przygotować zastrzyk lignocainy, gdy podniósł powieki.

- Bez znieczulenia - powiedział. - Może się przydać w przyszłości.

- Będzie cię bolało.

- Bierz się do roboty - zakończył dyskusję i znów zamknął oczy.

Toni zerknęła na Henry'ego, który tylko bezradnie wzruszył ramionami. Przez chwilę się wahała, po czym wzięła głęboki oddech i nawlekła igłę. Przed szyciem zdezynfekowała ranę.

Jack poruszył się tylko, gdy po raz pierwszy wbiła igłę. Później siedział nieruchomo; tylko kurczowo zaciśnięte dłonie zdradzały, że cierpi. W świetle lampy widać było zbiegające kostki palców.

Gdyby Toni nie zszyła rany, pozostałaby szeroka, brzydka blizna.

Po paru minutach skończyła, cofnęła się i krytycznie oceniła własną pracę.

- Gotowe, doktorze Christy - powiedziała. Uznała, że w takich okolicznościach nie uda się jej osiągnąć lepszego efektu. - Jest pan wolny.

Jack wypuścił powietrze z płuc, otworzył jedno oko i spojrzał na nią.

- Niewiele jest kobiet na świecie, którym pozwoliłbym tak się nade mną znęcać - oświadczył z sardonycznym uśmiechem.

- Przepraszam. - Toni uśmiechnęła się. - Uprzedzałam cię.

- Nieważne - skrzywił się.

Już miała się odwrócić, gdy nieoczekiwanie dotknął jej ramienia.

- Tak? - Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję - powiedział tak cicho, że nawet Henry nie mógł go usłyszeć. - Dziękuję, pani doktor - powtórzył.

To było coś więcej niż wyraz wdzięczności. Jack ostatecznie zaakceptował jej kwalifikacje, w które otwarcie wątpił, od chwili gdy zdradził, że wolałby do pomocy mężczyznę.

- Nie ma za co - odrzekła. - To należy do mojego

zakresu obowiązków - spróbowała zażartować, ale poczuła, że jej puls przyśpiesza. Mimo całej sytuacji i ich relacji zawodowych czuła, że ten zabieg miał głębsze, bardziej intymne znaczenie. Gdy usiłowała sobie poradzić z nieoczekiwanym przyływem uczuć, latarka zamigotała i zgasła. Teraz ciemności rozpraszał tylko blask ogniska.

- No tak - powiedział Henry. - Co teraz?

- Teraz rozdamy racje jedzenia i picia - oznajmił Jack.

- Po kolacji kładziemy się spać. Zasłużyliśmy na odpoczynek.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął Paul z wnętrza kabiny.

- Umieram z głodu.

Biszkopty, parę łyżek zupy i kubek wody zapewne nie zaspokoili jego apetytu, ale nie narzekał. Po kolacji wszyscy wciągnęli dresy, kurtki i ułożyli się na fotelach. Czekala ich długa noc.

Toni wątpiła, czy uda jej się zasnąć, ale zmęczenie wzięło górę. Śniło jej się, że idzie ulicą podczas zamieci, ubrana w szorty i podkoszulek. Trzęsła się z zimna. Obudziła się w środku nocy.

Leżała w ciemnościach, trzęsąc się i dygocząc. Było jej zimno. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Pomyślała, że przecież przed szpitalem powinna stać lampa. Gdzie się podziała?

Po kilku sekundach oprzytomniała.

Obróciła głowę i zobaczyła śpiącą obok Hilary. Słyszała jej równy oddech i niespokojne jęki Ruth. Dygotała coraz bardziej. Pomyślała, że zaraz obudzi Hilary. Postanowiła wstać i wyjść na zewnątrz.

Przechodząc obok Diaki, zatrzymała się na chwilę, aby przyjrzeć się śpiącej dziewczynie. W słabym świetle ledwo mogła dostrzec zarysy jej twarzy. Diaka spała spokojnie. Toni po raz pierwszy widziała ją rozluźnioną; teraz wydawała się zupełnie bezbronna. Nagle Toni zaczęła szczerkać



zębami; szybko ruszyła do wyjścia, aby nie zbudzić pozostałych.

Zatrzymała się w drzwiach samolotu. Przy płonącym ognisku siedziała samotna postać. Usiadła na podłodze i bez najmniejszego szmeru wydostała się na zewnątrz. Dopiero gdy podeszła do ogniska, mężczyzna usłyszał ją i podniósł głowę. Był to Jack.

- Nie możesz usnąć? - spytał.

- S...spałam, ale z...zmarłam. - Kucnęła i wyciągnęła ręce do ognia. - N...nie mogę p...przestać sz...szczekać zębami.

Jack wstał i wrzucił do ognia ostatnią drewnianą skrzynkę. Toni z wdzięcznością patrzyła, jak ognisko się ożywia. Niebieskie płomienie zaczęły lizać deski. Nagle poczuła, że Jack zarzuca jej coś na ramiona. To była jego własna kurtka.

- T...to niepotrzebne - wyjąkała z trudem. - Będzie ci z...zimno.

- Jesteś w szoku - rzekł. - Musisz się ogrzać.

Toni wciąż szczekała zębami i dygotała. Czuła, że zaraz zemdleje. W pewnym momencie Jack zmusił ją, aby się skuliła i schowała głowę między kolana.

Gdy przestało się jej kręcić w głowie, ułożył ją na ziemi. W tej samej chwili poczuła, że kładzie się na niej, obejmując ją mocno ramionami.

Instynktownie zaczęła walczyć. Jak on śmie wykorzystywać jej słabość?

- Przestań - usłyszała zdecydowany głos. Natychmiast się uspokoiła. - Muszę cię ogrzać. Nie mam lepszego sposobu.

Przestała się opierać. Jack przytulił ją do siebie. Natychmiast zrobiło jej się cieplej. Leżeli tak blisko ognia, że niemal czuli na twarzach jego żar.

Wprawdzie Toni zaprzestała walki, ale dalej kurczowo

zaciskała ręce na jego koszuli. Stopniowo, w miarę jak się ogrzewała, rozluźniła się i przestała dygotać. Leżała spokojnie w ciepłym kokonie, jaki stworzył dla niej Jack. Po jakimś czasie westchnęła i zamknęła oczy.

Tym razem śniło się jej, że jest w domu u mamy. Znów poszły razem po zakupy do supersamu. Kupiły mięso na pieczeń, kurczaki, chleb, owoce, czekoladę i wino... ale gdy dotarły do kasy, siedział tam Jack Christy i oznajmił, że nie wyjdą ze sklepu, póki wszystkiego nie zjedzą.

Toni przebudziła się ze śmiechem. Spróbowała przewrócić się na drugi bok, ale wciąż tkwiła w ramionach Jacka. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Jack nie spał. Przyglądał się jej uważnie. Ognisko przygasło, widać było jeszcze żarzące się węgle.

- Spałaś - powiedział cicho.

- Tak - przyznała. Zrezygnowała ze zmiany pozycji. Wołała dalej drzemać w jego ramionach, korzystając z ciepła i poczucia bezpieczeństwa.

- Lepiej się czujesz?

- Tak. Z pewnością jest mi cieplej.

- To był szok.

- Zapewne. Pamiętam, że zaraz po wypadku miałam dreszcze, ale później byłam taka zajęta, że o wszystkim zapomniałam. Teraz organizm musiał odreagować.

- To najgorszy wariant - mruknął Jack. Poruszył się nieco. Toni poczuła, jak jego twarde udo dotknęło jej nogi. Pomyślała, że chyba powinna wstać, ale nim to zrobiła, ktoś wyskoczył z samolotu.

Nawet w półmroku bez trudu rozpoznała Henry'ego. Potknął się i zaklął, po czym pokuśtykał w kierunku latryny.

- Henry pokazał dziś, na co go stać - powiedziała szeptem.

Jack nie odpowiedział. Spojrzała na niego. Na tle nieba widać było wyraźnie jego ostry profil. Zbliżał się świt.

- Podczas kryzysu ludzie sprawiają niespodzianki. Zupełnie nieoczekiwanie niektórzy okazują się najsilniejsi - dodała.

- Z tego, co słyszałem, ty też byłaś niezła - mruknął Jack.

- Jak już mówiłeś, tego się po mnie nie spodziewałeś - odparła. - No, przyznaj, uważałeś, że będę zupełnie bezużyteczna, prawda?

- Muszę przyznać, że miałem pewne wątpliwości - zgodził się.

- Wciąż nie rozumiem dlaczego. Skończyłam akademię medyczną...

- To nie ma nic wspólnego z twoim wykształceniem. Chodziło mi tylko i wyłącznie o to, że jesteś kobietą...

- Ach, co za męski szowinizm!

- Nie, to nie to... Wykonujesz swoje obowiązki równie dobrze lub nawet lepiej niż wielu znanych mi mężczyzn.

- Wobec tego, o co ci chodzi?

Jack nic nie odpowiedział. Na polanie pojawił się Henry. Zauważył ich i na chwilę przystanął. Pozdrowił ich machnięciem ręki i wrócił do samolotu, tak jakby było czymś naturalnym i oczywistym, że leżą przy ogniu przytuleni do siebie.

- To wyłącznie sprawa siły fizycznej i wytrzymałości - wyjaśnił wreszcie Jack, gdy Henry zniknął w samolocie.

- Jak ci już powiedziałem, wiem to na podstawie dotychczasowych doświadczeń. Inne kobiety, które przyjeżdżały do Jabhati, nie potrafiły wytrzymać całego kontraktu. Być może to kwestia klimatu lub ciężkich warunków życia. Nie wiem.

- Może sprawię ci niespodziankę.

- Może - przyznał. - Mimo że jesteś taka drobna - dodał. Odruchowo przytulił ją do siebie i Toni poczuła, że jej

serce przyśpiesza. Już dawno nie leżała w ramionach mężczyzny. .. Jack Christy był zupełnie inny niż Martin Foster. Właśnie dlatego znalazła się w jego ramionach. Dobrze się w nich czuła. A może mam temperaturę i to tylko halucynacje? - pomyślała nagle.

Przez dłuższą chwilę leżeli w milczeniu.

- Ciekaw jestem, co przyniesie dzisiejszy dzień - odezwał się wreszcie Jack.

- Myślisz, że władze znajdą nas dzisiaj? - spytała Toni, nie kryjąc nadziei.

- Niewykluczone - odrzekł z wahaniem. - Pod warunkiem, że wiedzą już o zaginięciu samolotu.

- Myślisz, że mogli jeszcze tego nie zauważyć? - zdziwiła się Toni.

--Nie wiem... Nie zapominaj, że mieliśmy jechać do Jabhati autobusem, co trwałoby znacznie dłużej...

- Ale przecież z pewnością Lutas musiał zgłosić lot, spodziewany czas lądowania, takie rzeczy...

- W zasadzie tak...

- Myślisz, że tego nie zrobił?

- Lutas nie zwraca szczególnej uwagi na takie rzeczy. Nie mów tylko o tym nikomu. Lepiej dla nas wszystkich, żeby Ruth myślała, iż cała policja i armia Tanzanii nie robi nic innego, tylko nas szuka.

- Jack, jak długo możemy przeżyć? - spytała Toni.

Wzruszył ramionami.

- Mamy dość wody na dwa lub trzy dni. Później będziemy musieli na nowo przemyśleć sytuację. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Na razie będziemy siedzieć tutaj.

W tym momencie spomiędzy drzew wyszedł William. Kiwnął głową na powitanie i skierował się do samolotu.

- Gdzie on spał? - zdziwiła się Toni.

- Kto wie? - Jack puścił ją i przeciągnął się. Toni usiadła na ziemi. - Spałaś, prawda? - spytał ją.

- Tak. Śniło mi się, że jestem u mamy i robimy zakupy. Kupiliśmy jedzenie, mnóstwo jedzenia.

- Gdzie jest twój dom, Toni? - Jack usiadł i zaczął masować sobie kostki. Toni nagle poczuła się opuszczona i zapragnęła, aby znów wziął ją w ramiona. Przełknęła ślinę. Drapało ją w gardle.

- W Chichester - odrzekła. Oczami wyobraźni widziała dom mamy. - Co mam podać na śniadanie, doktorze Christy? - spróbowała zażartować, aby odpędzić wzruszenie.

- O czym myślisz? - spytał krótko.

- Może być jajecznicza na bekonie, grzyby, płatki kukurydziane, jak to zwykle w Chichester.

- Chyba wolę niewielką grzanekę. - Jack pokręcił głową. Uśmiechnął się i wstał, z trudem prostując nogi. Podał jej rękę.

Toni poczuła mocny uścisk jego palców. W tym momencie pomyślała, że niezależnie od tego, co ich czeka, wszystkiemu podoła, byle tylko towarzyszył jej ten mężczyzna.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nagle zrobiło się jasno. Promienie słońca rozproszyły różową mgiełkę znad sawanny i wypełniły powietrze ja-skrawym, niemal oślepiającym światłem. Rozpoczął się kolejny afrykański dzień.

Z gałęzi akacji zerwały się stadka niewielkich koloro-wych ptaków. Z pobliskiej góry wystartowały sępy i znów zaczęły krążyć po niebie.

Pozostali pasażerowie również się przebudzili. Z trudem prostowali zeszywniałe kończyny. Odważniejsi skierowali się do latryny. Hilary zmusiła Ruth, by podzieliła się chu-steczkami nasączonymi wodą kolońską, dzięki czemu wszyscy mogli się nieco odświeżyć.

Następnie Toni rozdzieliła biszkopty, a Hilary wydała racje wody. Wszyscy, oprócz Lutasa, usiedli wokół wyga-słego ogniska i w milczeniu jedli śniadanie. Nawet Ruth wyszła z samolotu. Diaka również zasiadła ze wszystkimi, jak zwykle nic nie mówiąc i niczym nie zdradzając swych myśli.

Śniadanie nie trwało długo. Mimo że zjedli wszystko do ostatniej kruszynki, nikt się nie poruszył.

Pierwszy odezwał się Henry. Po trudach poprzedniego dnia wyglądał jak stary zmęczony człowiek.

- Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy czegoś zrobić
- powiedział, przerywając pozostałym ich rozmyślanie.
- Co proponujesz? - spytał Jack.
- Nie wiem. - Henry wzruszył ramionami. - Pomyślą-

łem, że może niektórzy z nas powinni zbadać okolicę, być może może pójść wezwać pomoc. A może wszyscy powinniśmy się ruszyć... Nie wiem.

- Jak sądzisz, czy długo przetrwamy na otwartej sawannie bez wody, jedzenia, schronienia i z jednym rewolwerem?

- Nie mam pojęcia. - Henry znów wzruszył ramionami.

- Wiem, o co chodzi Henry'emu - odezwał się Paul.

- Siedząc tutaj beczynn timer, czuję się zupełnie bezradny. Z pewnością możemy coś przedsięwziąć.

- Zapewniam was, że lepiej będzie, jeśli zostaniemy tutaj - oświadczył Jack. - Przede wszystkim, choć drzewa częściowo przesłaniają samolot, z pewnością jest on dobrze widoczny z góry. Natomiast grupka ludzi podróżujących na piechotę przez sawannę jest prawie niewidoczna. Co więcej - ciągnął dalej, widząc, że nikt nie protestuje - samolot zapewnia nam schronienie, którego bylibyśmy pozbawieni na otwartym terenie. - Przerwał na chwilę i rozejrzał się dookoła. - Zapominacie również, że mamy wśród nas rannego, którego musielibyśmy nieść, i kobietę w ciąży.

Wszyscy odruchowo spojrzeli na Diakę, która spuściła oczy.

- Z tych względów musimy tymczasowo pozostać tutaj i mieć nadzieję, że nie będziemy długo czekać, aż ktoś nas znajdzie.

Wstał i poszedł do samolotu. Pozostali odprowadzili go wzrokiem. Dalej siedzieli w milczeniu.

- Toni, mogłabyś mi pomóc zmienić Lutasowi opatrunki?! - zawołał Jack.

Toni wstała, z trudem prostując zeszywniałe nogi. Już miała odejść, gdy uświadomiła sobie, że w dalszym ciągu nikt się nie odzywa.

- Hej, rozchmurzcie się, smutasy! - zawołała, przyglądając się ich ponurym twarzom. - Przynajmniej żyjemy.

Zapowiada się piękny dzień. - Wskazała ręką na bezchmurne niebo.

- Toni ma rację - poparła ją Hilary i również wstała. - Jesteśmy beznadziejni. Przecież mogło być o wiele gorzej. Mogliśmy zginąć w katastrofie. Gdyby ktoś zginął, pozostali musieliby teraz zająć się pogrzebem.

Toni uśmiechnęła się z ulgą i pośpieszyła do samolotu. Pozostali, zawstydzeni przez Hilary, też się ruszyli.

W samolocie było znacznie ciemniej niż na zewnątrz. Toni zatrzymała się, żeby poczekać, aż jej oczy dostosują się do zmienionych warunków. Jack klęczał koło Lutasa, który właśnie się obudził.

- Spróbuję ułożyć go w wygodniejszej pozycji - powiedział zdecydowanie. - Przygotuj świeże opatrunki.

Toni kiwnęła głową i udała się do tylnej części kabiny, gdzie leżała zawartość spalonych skrzynek. Znalazła opatrunki i jednorazową strzykawkę. Gdy wróciła, przekonała się, że Jack posłużył się pustą puszką po zupie jako basenem dla rannego.

- Zaraz to wyniosę - rzekł, wstając z klęczek. - Masz może jeszcze te chusteczki do wycierania twarzy? Dobrze, że się nie golisz, stary - zwrócił się do Lutasa. - Zakład nie świadczy takich usług.

Gdy Jack odszedł, Toni uklękła obok Lutasa.

- Cześć! Jak się czujesz? - zapytała.

- Nigdy nie czułem się lepiej - odrzekł Lutas. Miał popękane wargi. Toni ostrożnie wytarła jego spaloną słońcem twarz. Starła się wycisnąć z chusteczki nawet najdrobniejsze ślady wilgoci. Później uniosła głowę Lutasa i podała mu wodę.

Wszystko wypił od razu i poprosił o jeszcze. Toni zajęła się jednak zmianą opatrunków.

- Gdzie są pozostali? - spytał wreszcie.

- Na zewnątrz - odpowiedziała.



- Wszyscy żyją?
- Tak, nikt nie zginął. To dzięki tobie.

Lutas coś mruknął i ciężko westchnął, po czym odchylił głowę do tyłu. Milczał przez chwilę, po czym jakby sobie coś przypomniał.

- A co z tym młodym?
- Chodzi ci o Paula?
- Tego chorego na astmę.
- Nic mu nie jest.
- Przecież nie ma lekarstwa.
- Wiem, ale możesz mi wierzyć, że to jeden z naszych najmniejszych problemów.

- Co z innymi? - Lutas zmarszczył brwi.

- Ruth... czyli pani Gałloway zwichnęła ramię. Już jej nastawiliśmy. Prawdę mówiąc, największy kłopot mamy z tobą, Lutas. - Uśmiechnęła się do niego. - No i z Diaka.

Toni zbyt późno ugryzła się w język. Na szczęście Lutas nie zwrócił uwagi na tę informację. Po chwili wrócił Jack i cała ta krótka rozmowa odeszła w zapomnienie.

Jack włożył rękawiczki chirurgiczne i zbadał rany.

- Wszystko w porządku - oznajmił. - Muszę się pochwalić, że dobrze cię zszyłem.
- Co ze złamaniami? - spytał Lutas, krzywiąc się z bólu.
- Uczciwie mówiąc, nie mam pojęcia - odparł Jack.
- Musisz się zdać na łaskę bożą. Jak i wszyscy pozostali
- dodał z ponurym uśmiechem.
- Wkrótce powinni zacząć nas szukać - mruknął Lutas.

Toni ostrożnie zakryła jego rany gazą i zaczęła je bandażować.

- Zrobię ci znów zastrzyk przeciwbólowy - powiedział Jack, wyjmując z torby strzykawkę i ampułkę morfiny.

- Chwilę ... - Lutas powstrzymał go gestem. - Siedźcie na miejscu, dobrze?

- O co ci chodzi? - Jack już miał nabrać lekarstwo do

strzykawki, ale zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela, który wyraźnie cierpiął.

- Nie odchodźcie od samolotu... Niech nikt się nie oddala...

- Nie zamierzam odchodzić. Już to wszystkim jasno wyłożyłem - zdecydowanie odpowiedział Jack.

- Woda?

- Racjonujemy... Starczy na kilka dni.

- Dobrze... Przez ten czas powinni nas znaleźć. - Lutas westchnął i zamknął oczy, tak jakby ten wysiłek był dla niego zbyt poważny. Jack wstrzyknął mu morfinę, a Toni skończyła opatrywać rany.

Nim zasnął, raz jeszcze otworzył oczy.

- Co z tą Murzynką?

- Diaka? O co ci chodzi?

Lutas zerknął na Toni, która spuściła oczy. Była wyraźnie zakłopotana. Jack również spojrzał na nią.

- Przepraszam - wymamrotała tak cicho, aby Lutas jej nie usłyszał. - Wymknęło mi się, że martwimy się o nią. Nie powiedziałam jednak, z jakiego powodu.

Jack westchnął i znów zwrócił się do przyjaciela. Nie zdążył jednak wymyślić żadnego prawdopodobnego wyjaśnienia.

- Ona jest w ciąży, prawda? - domyślił się Lutas.

- Skąd wiesz?

- Teraz przyszło mi to do głowy. Gdybym wiedział, nigdy bym się nie zgodził.

- Dlatego właśnie nic ci nie powiedziałem. Uznałem, że tak będzie lepiej. Przykro mi, stary. Musiałem zabrać ją do Jabhati. To dość beznadziejna historia.

Lutas zasnął. Toni zaczęła sprzątać brudne bandaże. W końcu spojrzała na Jacka.

- Przepraszam - powiedziała. - To była bezmyślność z mojej strony.

- Nic się nie stało - uspokoił ją Jack. - To i tak cud, że jeszcze potrafimy myśleć. Zresztą wcześniej czy później Lutas i tak dowiedziałyby się prawdy.

Toni zawahała się, ale nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Co miałeś na myśli mówiąc, że to beznadziejna historia?

- Właśnie to.

- Ona pochodzi z Jabhati?

- Tak.

- Jak zatem trafiła do Nairobi?

- To typowa sprawa. - Jack zaczął bezwiednie owijać bandaż wokół własnej ręki. - Rodzice nie pozwolili jej wyjść za chłopaka, którego kocha. Gdy okazało się, że jest w ciąży, nie powiedziała o tym nikomu, nawet temu chłopcu. Uciekła z domu, żeby nie przynieść wstydu obu rodzinom.

- Czy rodzice zgodziliby się na ślub, gdyby wiedzieli, że ona jest w ciąży?

- To dyskusyjna sprawa. - Jack skrzywił się. - Ojciec Diaki jest ważną figurą w Jabhati. Umówił się z członkiem starszyny sąsiedniej wioski, że córka wyjdzie za niego. Ten człowiek ma już sześćdziesiąt dwa lata.

- A jak ty się dowiedziałeś, że ona jest w Nairobi?  
- spytała Toni. Wizja małżeństwa Diaki z tak starym mężczyzną wydała się jej koszmarem.

- To był czysty przypadek. Diaka przedostała się piechotą z Jabhati do Arusha, po czym dotarła autostopem do Nairobi. Słyszała różne opowieści o stolicy i miała nadzieję, że tutaj znajdzie pracę. Niestety, niemal natychmiast po przybyciu została zgwałcona i okradziona. Spotkałem ją przypadkiem. Żebrała na ulicy obok hotelu Jacaranda. Dostrawała tyle, by przetrwać w tych slumsach. W końcu udało mi się przekonać ją, aby wróciła ze mną do Jabhati.

- A jak na to zareagują rodzice?
  - Mam nadzieję, że powrót córki sprawi im ulgę. Byli bardzo zmartwieni, gdy Diaka uciekła. Pewnie sądzą, że już nie żyje. Ten chłopak chciał pojechać do Nairobi, żeby ją odszukać, ale musiał zostać, żeby zajmować się starym ojcem.
  - A ten podstarzały narzeczony?
  - Tak się wściekł z powodu zerwania umowy, że ożenił się z dziewczyną z innej wioski. O ile wiem, miała trzynaście lat.
  - Dziwne panują tu zwyczaje - zauważyła Toni.
  - Przyzwyczajasz się do nich - odrzekł Jack. Tym razem w jego głosie nie dosłyszano przygany.
  - Wiem. - Toni westchnęła. - Po prostu niektóre rzeczy trudno jest zaakceptować.
  - To działa w obie strony - uśmiechnął się.
  - Co masz na myśli? - zdziwiła się Toni.
  - Oni również uznają, że jesteś dziwna.
  - Dlaczego?
  - Bo nie wyszłaś za męża, i to w wieku... Ile ty masz lat? - Jack zmarszczył czoło. - Dwadzieścia sześć?
  - Tak, ale...
  - To będzie dla nich bardzo dziwne. Zmarnowałaś tyle lat, podczas których mogłaś rodzić dzieci.
  - Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób... - Toni odwróciła głowę. W szarych oczach Jacka dostrzegła wesołe błyski. Ku swej rozpaczy poczuła, że się rumieni.
  - Doprawdy? - spytał cicho. - Nigdy nie chciałaś mieć dziecka?
  - Oczywiście, że pewnego dnia chciałabym mieć dzieci, ale na razie moja kariera zawodowa...
- Nagle Jack zbliżył się do niej od tyłu tak blisko, że poczuła na karku jego oddech. Przypomniała sobie, jak w nocy leżała w jego ramionach, przytulona do prężnego ciepłego ciała...

- Czyżby, Toni? - mruknął jej prosto do ucha. - Czy nigdy nie pragnęłaś jakiegoś mężczyzny tak mocno, aby chcieć urodzić jego dziecko? Czy nigdy nikogo nie było?

- Oczywiście, że był - zirytowała się Toni. Jack sugerował, że nikt jej nie kochał.

- Ach - westchnął Jack. - Tak sądziłem. Czy myślałaś o nim poważnie?

- Owszem, bardzo poważnie - prychnęła.

- Cóż zatem się stało?

- Po prostu nie ułożyło się dobrze.

- Jego zatem już nie ma, tego ważnego mężczyzny?

- Nie. W każdym razie nie w tym sensie, o jakim myślisz - dodała. Była zła na siebie, że dopuściła do takiej rozmowy.

- Czy dlatego przyjechałaś do Afryki, aby o nim zapomnieć?

- Nie, nie dlatego! - Toni odsunęła się i spojrzała mu w oczy. - Skończyłam z Martinem już dawno!

- Ach, więc to był Martin. - Jack się uśmiechnął. - Czy również jest lekarzem?

- Nie. Jeśli musisz wiedzieć, to jest nauczycielem.

- Nauczycielem! I co on myśli o twojej wyprawie na dziki kontynent?

- Uważa, że zwariowałam. Powiedziałam ci już, że skończyłam z Martinem, nim jeszcze pomyślałam o wyjeździe.

- Uważa, że zwariowałaś? - Jack wybuchnął śmiechem. - Wiesz co? Pewnie ma rację. Chyba wszyscy zwariowaliśmy. Czy ktoś o zdrowych zmysłach chciałby żyć w takim miejscu jak Jabhati?

- Czy Shakira też tak myśli? - śmiało spytała Toni. Udało się jej go zaskoczyć. Jack znieruchomiał i zmrugał oczy na samą wzmiankę o kobiecie, którą miał poślubić.

Toni również wyobraziła sobie tę ciemnowłosą piękność

i nagle zdała sobie sprawę ze swego wyglądu. Nie tylko nie miała makijażu, ale była brudna, a pozlepiane w strąki włosy nie dodawały jej uroku.

Jack nie spuszczał z niej wzroku, co tylko zwiększyło jej zakłopotanie. Uratował ją czyjś przeraźliwy wrzask.

- Co, u diabła... - Jack rzucił się do drzwi.

- To chyba Ruth... - Toni pobiegła za nim. Potknęła się o czyjś plecak i uderzyła kolanem o krawędź fotela.

To nie była Ruth. Toni zatrzymała się w drzwiach samolotu i rozejrzała dookoła. Ku jej zdziwieniu to Hilary, zazwyczaj tak spokojna i opanowana, stała jak skamieniała, wpatrując się z przerażeniem w drewnianą skrzynkę, którą wykorzystywała jako spiżarnię. William, który najwyraźniej przybiegł zbadać, co się stało, klęczał obok pojemnika. Po chwili podniósł głowę. Na jego zazwyczaj poważnej twarzy pojawił się uśmiech. Toni i Jack wyskoczyli z Dakoty i podbiegli do niego.

- Co się stało? - spytał Jack. - Waż?

- Nie - zaśmiał się William, kręcąc głową. - To tylko pajak.

- Tylko pajak! - wrzasnęła Hilary. - Tylko pajak! To największy pieprzony pajak, jakiego widziałam w życiu. - Zwróciła się bezradnie do Toni, która objęła ją ramieniem. - Naprawdę, był tak duży jak moja ręka. I taki włochaty. Miał czarne włosy i tak szybko się ruszał... Na pewno gdzieś się schował.

- Spokojnie, Hilary - powiedział Jack, zaglądając do skrzyni. - Już uciekł, pewnie przestraszył się twego krzyku, czemu zresztą trudno się dziwić. - Uśmiechnął się do niej. - Wrzasnęłaś tak, że zmarły by się obudził.

- Przepraszam - wymamrotała Hilary. Wciąż ścisnęła ramię Toni, ale teraz jakby się zawstydziła. - Zawsze bałam się pajaków, zwłaszcza gdy tak szybko się ruszają.

- Myślałam, że to waż - rzucił Jack. - Pamiętajcie,

żeby zawsze sprawdzać, na czym siadacie - przypomniał pozostałym, którzy zgromadzili się, by zobaczyć, co się stało. - Skoro już o tym mowa, przed włożeniem butów trzeba też sprawdzić, czy nic w nich nie ma.

- Skorpiony - dodał William. - Paskudztwo.

- Paskudnie gryzą - uzupełnił informację Jack.

- Zaczynam nienawidzić Afryki - odezwała się Ruth, otrząsając się z obrzydzeniem.

- Och, dlaczego? - zaprotestował Paul. - Afryka jest również piękna. Widziałaś tę jaszczurkę wygrzewającą się na słońcu na tamtym kamieniu? Była wprost fantastycznie ubarwiona.

- Myślę, że chętnie zrezygnowałabym z takich przeżyć w zamian za kąpiel i czystą pościel - odparła kwaśno Ruth. - Jak pan myśli, doktorze, gdzie jest teraz ekipa ratunkowa?

- Jestem pewien, że już nas szukają, pani Galloway - gładko odrzekł Jack. - Sądzę jednak, że tymczasem powinniśmy przygotować się na spędzenie tu jeszcze jednego dnia, może również nocy. Przede wszystkim musimy zebrać drewno na ognisko. Paul? Henry? - Spojrzał na nich. Obaj kiwnęli głowami. - William, pomożesz mi przesypać ziemią latrynę?

- Oczywiście, doktorze.

- Dobrze się już czujesz? - Jack zwrócił się do Hilary. W jego tonie słychać było nutkę sympatii.

- Tak, dziękuję. - Hilary odzyskała wewnętrzną równowagę. - Bardzo przepraszam. Już wszystko w porządku.

- Nie przejmuj się, każdy z nas ma jakiegoś osobistego demona - pocieszył ją Jack. Zmrużył oczy, chroniąc je przed palącym słońcem. - Jak tam dostawy żywności? - zażartował.

- Można powiedzieć, że dostawca zawodzi - skrzywiła się Hilary. - Dziś otwieramy drugą puszkę zupy. Przydało-

by się drugie danie. - Rozejrzała się wokół. - Sądysz, że możemy jeść jakieś jagody?

- Lepiej nie - odrzekł Jack. - Przynajmniej ... - urwał i obejrzał się przez ramię, czy Ruth jest na tyle daleko, by nie słyszeć, co mówi. - Przynajmniej dopóki nie będziemy do tego zmuszeni. To poważne ryzyko biegunki, a nie mamy dość wody, aby poradzić sobie z odwodnieniem organizmu.

Jack i pozostali mężczyźni poszli do swoich zajęć. Hilary zwróciła się do Toni.

- Wysłałam na wariatkę - powiedziała z żalną miną.

- Nie bądź głupia. Sama pewnie zrobiłabym to samo - przyznała Toni. - Prawdę mówiąc, nie jestem entuzjastką pajaków. Nie cierpię, kiedy jesienią te wielkie czarne bydlaki wchodzą do domów.

- Ostatniej nocy niezbyt przejmowałam się pajakami.

Toni już miała wrócić do samolotu, ale teraz stanęła jak wryta i spojrzała na Hilary.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, choć wyraz twarzy Hilary pozwalał jej odgadnąć sens aluzji.

- No cóż, nie sądzę, żeby trawa była najlepszym miejscem do spania dla kogoś, kto boi się pajaków - odrzekła Hilary, potwierdzając jej podejrzenia. - Z drugiej strony, gdy ma się takiego opiekuna, to pajaki pewnie nie mają znaczenia.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - powiedziała Toni, ale czuła, że się czerwieni.

- Tylko nie opowiadaj, że mi się to przyśniło! - Hilary uśmiechnęła się niewinnie. - A może wskutek nadmiaru wrażeń miałam halucynacje? Wiesz, Toni, mogłabym przysiąc, że ostatniej nocy, gdy szłam zrobić siusiu, widziałam cię w ramionach Jacka przy ognisku. A ty mówisz, że to tylko złudzenie.

- Wcale tego nie powiedziałam - zaprotestowała Toni.



- Czyli naprawdę obłąpialiście się tej nocy?  
- Nie! - krzyknęła Toni. Hilary uniosła brwi. - Nie  
- powtórzyła spokojniej Toni. - Nie obłąpialiśmy się, jak  
byłaś uprzejma się wyrazić. Po prostu Jack próbował mnie  
ogrzać...

- W moich stronach nazywamy to obłąpką.  
- Przeżywałam opóźniony szok...  
- Wcale się nie dziwię. - Hilary uśmiechnęła się.  
- Gdybym spędziła noc w ramionach Jacka, też doznałabym  
szoku.

- Nic nie rozumiesz - zaprotestowała Toni. - To zupełnie  
coś innego. - Hilary wciąż się uśmiechała. - Nawiasem  
mówiąc, dlaczego poszłaś sama do latryny? Jack powiedział,  
że mamy zawsze chodzić w czyimś towarzystwie.

- Na przykład czyim? - zimno spytała Hilary. - Ruth  
ciągle jęczała, z Diaka trudno byłoby się porozumieć, Henry  
chrapał, William gdzieś zniknął, a Paul... gdybym z nim  
poszła, nie wiedziałabym, kto się kim opiekuje.

- Mimo to...

- Muszę przyznać - ciągnęła Hilary bez odrobiny litości -  
że w pierwszej chwili chciałam zbudzić ciebie. Niestety,  
nie mogłam cię znaleźć i dlatego postanowiłam sama  
stawić czoło nocnym strachom. Dopiero gdy wyszłam,  
zauważyłam, że jesteś zajęta. Nie byłam pewna, co właściwie  
robisz, ale wolałam się nie narażać Jackowi. Dlatego  
przekradłam się koło ogniska.

- Sama poszłaś aż do latryny? - zaśmiała się Toni.

- No, nie całkiem - przyznała Hilary. - Kucnęłam pod  
najbliższym krzakiem. W tym momencie poruszyło się  
jakiś zwierzę i prysnęłam do samolotu najszybciej,  
jak tylko mogłam. Ty i Jack nawet nie zauważyliście,  
że przechodziłam, prawda?

- Nie - uśmiechnęła się Toni. - W każdym razie ja  
cię nie widziałam. Może Jack...

- Jak myślisz, czy jeśli powiem mu tej nocy, że jest mi zimno, to czy zrobi to samo dla mnie? - zastanawiała się Hilary.

- To naprawdę nie było tak, jak myślisz - westchnęła Toni.

Hilary chwyciła skrzynkę z jedzeniem, zajrzała podejrzliwie do środka, po czym ruszyła w stronę samolotu.

- Cieszę się, że tak mówisz - powiedziała poważnie. Toni zauważyła, że żarty się skończyły. - On już się zdeklarował. Nie chcę, abyś przeżyła zawód.

- Nie martw się - odpowiedziała zdecydowanie. - To całkowicie wykluczone.

Doszły do samolotu. Toni puściła Hilary przodem.

- Doskonale. Tylko nie zapomnij o tym, co powiedziałaś - zakończyła rozmowę Hilary i weszła do kabiny.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Toni powiedziała sobie zdecydowanie, że obawy Hilary są całkowicie bezpodstawne. W samolocie znalazła swój plecak i wyciągnęła z niego czystą koszulę. Z przyjemnością włożyła coś świeżego. Niezależnie od tego, jak Hilary interpretowała nocną scenę, Toni miała czyste sumienie.

Jack Christy po prostu musiał ją ogrzać, aby zwalczyć skutki szoku.

Poza tym ona przecież postanowiła na jakiś czas wykluczyć mężczyzn z kręgu swoich zainteresowań.

Od zerwania z Martinem Toni starannie unikała zaangażowania się w jakikolwiek związek. Całą swoją energię poświęciła sprawom zawodowym.

Zresztą, nawet gdyby miała jakieś romantyczne potrzeby, raczej poszukałaby kogoś zupełnie innego niż Jack. Hilary tylko powtórzyła to, co Toni sama dobrze wiedziała: Jack był już związany. Miała przed oczami obraz Shakiry, równie wyraźny, jak tarcza słońca na niebie. To była kobieta, która miała zostać jego żoną.

A jeśli on wcale się nie zadeklarował? - dręczył ją jakiś demon. Jeśli jest wolnym człowiekiem? Czy w takim wypadku byłaby nim zainteresowana? Mało która kobieta gotowa byłaby twierdzić, że Jack Christy nie jest atrakcyjnym mężczyzną.

Nieuchronnie Toni wracała myślami do nocy, którą spędziła w jego ramionach. Wprawdzie była wtedy w szoku, ale mimo to świetnie czuła jego prężne ciało i promieniu-

jąca z niego siłę... Czy w normalnych okolicznościach byłaby nim zainteresowana? Czy taki mężczyzna mógłby się jej spodobać?

Przy pierwszym spotkaniu Jack wywarł na niej jak najgorsze wrażenie. Uznała go za aroganta i męskiego szowinistę... Od tego czasu jednak poznała inną stronę jego osobowości.

Z irytacją potrząsnęła głową. Te pytania miały czysto hipotetyczne znaczenie. Niepotrzebnie traciła czas na takie spekulacje. Im szybciej przestanie sobie zawracać głowę Jackiem Christym, tym lepiej dla niej. Wyciągnęła z plecaka grzebień i z pewnym trudem rozczesała włosy.

Gdy skończyła, podeszła do drzwi samolotu. Zatrzymała się na chwilę, aby przygotować się psychicznie do wyjścia na słońce. W tym momencie spostrzegła, że Jack prowadzi jakąś naradę.

Zerknął na nią i na chwilę zatrzymał wzrok, tak jakby zwrócił uwagę na zmianę w jej wyglądzie. Toni uznała to za absurdalny pomysł. Jack z pewnością nic by nie zauważył, a nawet gdyby, nie miałyby to dla niego żadnego znaczenia. Zeskoczyła na ziemię i podeszła do pozostałych. Wszyscy wydawali się podnieceni.

- Co się stało? - spytała. - O co chodzi?

- Henry odebrał jakieś sygnały radiowe - wyjaśnił Jack. Mówił spokojnie, ale nawet on był podekscytowany.

- To wspaniale! Henry, świetnie się spisałeś! - Toni uśmiechnęła się do niego.

Henry aż się rozpromienił.

- Jeszcze za wcześnie na radość - ostrzegł. - To były tylko jakieś trzaski.

- No, ale dotychczas radio w ogóle nie działało! - wykrzyknął Paul, niemal podskakując z radości.

- Właśnie mówiliśmy - poinformował ją Jack - że powinniśmy spróbować zorientować się, gdzie jesteśmy. Jeśli

uda się nam nawiązać łączność, powinniśmy potrafić określić nasze położenie, aby wiedzieli, gdzie nas szukać. Zamierzam rozejrzeć się po okolicy.

- Lutas prosił, żebyśmy siedzieli na miejscu... - odrzekła Toni z wyraźnym powątpiewaniem w głosie.

- Pamiętam. Nie zamierzam iść daleko. - Jack wstał.

- William pójdzie ze mną. Weźmiemy rewolwer Lutasa.

- Urwał i rozejrzał się po twarzach zebranych. - Henry, ty obejmujesz tu komendę - powiedział spokojnie. Starszy mężczyzna kiwnął tylko głową w odpowiedzi. - Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby do naszego powrotu wszyscy siedzieli w samolocie.

Rozmawiając z ożywieniem o różnych możliwościach, wszyscy udali się do Dakoty, podczas gdy William i Jack zaczęli przygotowywać się do wyprawy. Wreszcie byli gotowi. Toni niespokojnie przyglądała się, jak odchodzą.

- Uważajcie na siebie! - krzyknęła za nimi.

Jack obejrzał się przez ramię. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Bądź spokojna. - Pozdrowił ją gestem.

W parę sekund później obaj zniknęli między kolczastymi krzakami.

Toni wróciła do kabiny. Ogarnęło ją poczucie osamotnienia. Co będzie, jeśli Jack nie wróci? Jeśli coś mu się stanie?

Z trudem wzięła się w garść. Nie mogła pozwolić, aby pozostali dostrzegli, co się z nią dzieje. To tylko pogłębiłoby ich depresję.

Nagle uświadomiła sobie, że ktoś się jej przygląda. Na podłodze samolotu siedziała Diaka, trzymając wysoko kolana. Patrzyła na nią swym nieruchomym wzrokiem. Toni nie miała wątpliwości, że dziewczyna odczytała jej myśli.

W samolocie stopniowo stawało się coraz bardziej gorąco. Oczekiwanie wlokło się w nieskończoność. W rze-

czywistości od wyjścia Jacka i Williama minęło najwyżej czterdzieści minut. Dla nich jednak to była prawdziwa wieczność.

- Nie rozumiem, dlaczego nikt nas nie szuka - powiedziała z irytacją Ruth, wachlując się broszurą reklamową.

- Z pewnością nas szukają - odpowiedział jej Henry z westchnieniem. - Po prostu nie mogą znaleźć.

- Gdyby nie te burze, nie wpakowalibyśmy się w taką kabałę - wyrzekła Ruth. - Pilot powinien wiedzieć, kiedy można bezpiecznie lecieć - dodała gniewnie.

- Warunki umożliwiały bezpieczny lot. - Hilary stanęła w obronie Lutasa. - To nie jego wina, że burze nagle zawróciły.

- Phi! - prychnęła Ruth i rozpoczęła walkę z muchami. Co chwila machała trzymaną w ręce broszurą. Niezliczone muchy kłębiły się wokół nich, przysiadając w pobliżu oczu i ust.

- Tylko się zgrzejesz - ostrzegła ją Toni.

- Boże, ale jestem spragniony - mruknął Henry. Wytarł chustką twarz i kark. - Czy nie czas na przydział wody?

- Nie, jeszcze za wcześnie. - Hilary wykrzywiła twarz w grymasie bóleści. - Pociesz się, że później otworzymy drugą puszkę zupy.

- To wspaniale - odezwał się Paul. Leżał wyciągnięty na dwóch fotelach. - Ciekawe tylko, co będziemy jeść jutro... i pojutrze. Nie mamy już nic.

- Paul... - zaczęła karcąco Toni, ale on nie dał się powstrzymać. Usiadł i zdjął kapelusz.

- Niedawno widziałem film o katastrofie lotniczej - ciągnął nieubłaganie. - Rozbili się zimą, w górach. Początkowo jedli śnieg, ale gdy bardzo wygłodnieli, zaczęli jeść ciała tych, którzy nie przeżyli katastrofy.

- Paul!

- Och, Boże! - jęknęła Ruth, mocniej wymachując swoim wachlarzem.

- Toni... - Z kąta kabiny doszedł do nich zduszony krzyk, przerywając tę rozmowę. Toni obejrzała się przez ramię. Z przerażeniem zobaczyła, że Henry pada na podłogę, a jego twarz, przed chwilą jeszcze czerwona, teraz staje się trupio biała. Zerwała się z podłogi i podbiegła do niego. Henry przyciskał rękę do serca i szpatmatycznie odychał. Toni uklękła i spróbowała ułożyć go równo na podłodze.

- Nitrogliceryna - usłyszała jego szept. - W walizce.

- Gdzie jest bagaż Henry'ego? - spytała Paula.

- To ten neseser.

Bez wahania wskazał jej zielonoszarą torbę podróżną. Toni otworzyła ją i zaczęła nerwowo poszukiwać lekarstwa. Na szczęście udało się jej szybko znaleźć butelkę. Otworzyła ją i wyjęła jedną niewielką, białą pastylkę.

- Henry, otwórz usta i weź to pod język - powiedziała z naciskiem.

Instynktownie posłuchał jej polecenia. Miał zamknięte oczy i twarz ściągniętą bólem.

- Co mu się stało? - spytał Paul, zaglądając jej przez ramię. Sam również był błydy jak ściana.

- Atak dusznicy bolesnej - wyjaśniła krótko. - Pewnie nie po raz pierwszy, skoro ma przy sobie lekarstwo.

- Nic mu nie będzie? - zaniepokoił się Paul.

- Mam nadzieję. Nitrogliceryna szybko działa. Szkoda tylko, że nas nie ostrzegł o takiej możliwości - odpowiedziała z ponurą miną.

- Pewnie nie chciał cię martwić - zauważył Paul domyślnie.

Toni usiadła obok Henry'ego. Czekwała, aż podziała nitrogliceryna. Wprawdzie zarost krył częściowo błądź jej twarzy, ale i tak wiedziała, że cierpi.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - spytała, gdy Henry wreszcie otworzył oczy.

- Nikt o tym nie wiedział. - Westchnął ciężko. - Gdyby kierownictwo mojej firmy się dowiedziało, pewnie nie pozwoliliby mi pojechać do Afryki.

- Czy bardzo ci na tym zależało? - spytała łagodnym tonem.

- Tak. - Wzruszył ramionami. - Całe życie o tym marzyłem... Wiedziałem, że to moja jedyna szansa, żeby zobaczyć Afrykę. Żona nie lubi podróżować. Co roku jeździmy na wakacje do Cornwall...

- Czy ona wie, że masz dusznicę?

- Tak, ale nie zdaje sobie sprawy, jakie to stanowi zagrożenie. - Henry urwał i zamknął oczy. - Gdyby wiedziała, na pewno nie pozwoliłaby mi na tę podróż.

- Och, Henry. - Toni pogładziła jego przerzedzone włosy.

Po paru minutach Henry usnął. Toni spojrzała na zegarek. Od wyjścia Jacka i Williama minęło już ponad półtorej godziny.

- Henry lepiej się czuje? - spytała ją Hilary, kucając obok.

- Myślę, że tak. Bóle chyba minęły - szepnęła Toni. - Wrócili?

- Jeszcze nie. - Hilary potrząsnęła głową.

- Mam nadzieję, że nie zabłądzili.

- Dobrze, że Jack wziął ze sobą Williama. On chyba zna busz lepiej niż ktokolwiek inny. - Hilary na chwilę przerwała. - Czy wiesz, że Lutas się obudził?

- Nie wiedziałam. - Toni uniosła się nieco i spojrzała w kierunku przedniej części kabiny. Paul kucnął przy Lutacie i coś do niego mówił. - Mam nadzieję, że starczy nam morfiny.

- Czy w zapasach nie ma środków znieczulających? - zaniepokoiła się Hilary.



- Nie, prawie wyłącznie opatrunki - odparła Toni.  
- Morfiny mamy tyle, ile Jack miał w swej torbie lekarskiej.

- Czyli sytuacja może się stać bardzo trudna - zauważyła Hilary,niżając głos, tak aby pozostali nie mogli jej usłyszeć.

- Owszem - przyznała Toni. - Z drugiej strony musisz pamiętać, że i tak mieliśmy szczęście, że wieźliśmy te dostawy do szpitala. Bóg tylko wie, jak poradzilibyśmy sobie bez środków opatrunkowych.

Powoli mijały godziny. Temperatura wciąż wzrastała. Kabina samolotu, która kiedyś wydawała się przyjemnym azylem, teraz przypominała nagrzaną piec. Toni modliła się o pomyślny powrót Jacka i Williama.

Powoli traciła już nadzieję. Wołała nie mówić o swych obawach Hilary, która z pewnością myślała o tym samym. Ponure myśli przerwał jej krzyk Paula, który czuwał na zewnątrz.

- Wrócili!

Rozległo się powszechne westchnienie ulgi. Toni zerwała się na nogi i podbiegła do drzwi. Zdażyła zobaczyć, jak Jack i William z trudem przedzierają się przez krzaki na polanę.

Obaj wydawali się bardzo znużeni. Kolce poszarpały im ubrania, na koszulkach widać było rozległe plamy potu.

Toni nie mogła sobie przypomnieć, kiedy poprzednio czyjś widok sprawił jej taką radość.

Zbliżyli się do samolotu. Jack uniósł głowę. Gdy dostrzegł Toni, uchylił kapelusza i mimo zmęczenia uśmiechnął się do niej. Twarz miał szarą od kurzu; z czoła spływały mu kropelki potu i ginęły wśród szczeciny pokrywającej wystające kości policzkowe.

- Cześć - powiedział, patrząc jej w oczy.

- No i co? - spytała, schodząc mu z drogi.

Wszedł do samolotu.

- Obawiam się, że nic. - Westchnął ciężko i rzucił kapelusz na fotel. - Poszliśmy na wschód, ale nie udało się nam znaleźć nic, co przypominałoby jakiś charakterystyczny obiekt. Po prostu kilometry nie kończącego się buszu i sawanny. Zrobiliśmy koło i wróciliśmy - dodał i spojrzał na Williama, który zwałił się na fotel. - Dzięki Bogu, że William poszedł ze mną. Bez niego bym zabłądził.

- Po prostu patrzyłem, gdzie są sępy - uśmiechnął się William, usłyszawszy słowa Jacka. - Wciąż tam latają.

- Wciąż czekają - mruknęła Hilary z rezygnacją. W jej głosie zabrzmiała nutka rozpacz.

- Widzieliście jeszcze jakieś zwierzęta? - spytał z niekłamany zainteresowaniem Paul.

- Kilka bawołów - odpowiedział Jack, wyciągając się wygodnie na podłodze. - Poza tym z daleka stado zebra, co oznacza, że w pobliżu musi być woda. Pytanie tylko, jak ją znaleźć. - Jack ze znużeniem przetarł oczy. - Czy Henry uruchomił radio?

- E... nie - pokręciła głową Toni i zerknęła w przeciwną stronę kabiny, gdzie leżał Henry.

- Czy coś się stało? - Jack bez trudu wyczuł, że Toni jest zaniepokojona.

- Henry miał atak dusznicy bolesnej - wyjaśniła po chwili.

Przez kilka sekund Jack tylko patrzył na nią. W powietrzu zawisło nie wypowiedziane na głos pytanie.

- Wszystko w porządku - zapewniła go Toni. - Na szczęście miał przy sobie nitroglicerynę.

- Dlaczego nic nie powiedział?

- Najwyraźniej nikomu się nie przyznał. Bał się, że jeśli dyrekcja się dowie, ominie go wyjazd do Afryki.

Jack tylko ciężko westchnął i podparł rękami głowę.

Toni zostawiła go w spokoju, żeby odpoczął i wyszła na zewnątrz pomóc Hilary w przygotowaniu posiłku. Gdy dzieliły zupę i biszkopty, ku ich zdziwieniu dołączyła do nich Diaka. Wydawało się, że obudziła się z letargu i koniecznie chciała im pomóc.

Hilary podała jej porcje przeznaczone dla Henry'ego i Lutasa. Murzynka zniknęła w samolocie. Paul, Ruth, William i Jack zebrali się na wspólny posiłek. Po kilku minutach wróciła też Diaka. Uroczyście jedli skromne porcje i drobnymi łyżkami popijali wodę.

- Możemy udawać, że to prawdziwa uczta - odezwał się Paul.

- Wcale nie musimy udawać - odrzekła Hilary. - Dla niektórych ludzi to naprawdę byłaby uczta.

- To prawda - przyznał Jack. - Byłem niedawno w Somalii. Możecie mi wierzyć, że dla tych biedaków to byłaby prawdziwa biesiada.

Wszyscy zamilkli. Smakowali każdą łyżkę zupy warzywnej i pilnie zbierali najdrobniejsze okruszki biszkoptów. Woda straciła już zapach świeżości, ale i tak był to prawdziwy balsam na ich wyschnięte gardła.

Gdy już wszyscy skończyli, Paul wstał i odszedł parę kroków na bok. Wszyscy wiedzieli, że źle znosi głód i zostawili go w spokoju.

- Niedługo zacznie się ściemniać - zauważył William, spoglądając na niebo.

- To prawda. - Jack niechętnie wstał. - Pora przygotować ognisko.

Przeciągnął się. Toni patrzyła na niego i ponownie dziękowała Bogu, że Jack i William wrócili cali i zdrowi.

W tym momencie Jack znieruchomiał. Stał jak posąg, trzymając ręce nad głową.

- Co się stało, Jack? - spytała. William również uniósł głowę i zaczął nadśluchować.

- Cisza! - syknął Jack.

Wszyscy nastawili uszu. Coraz wyraźniej słyszeć było warkot silnika.

Nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, na polanę wbiegł Paul, krzycząc i machając rękami.

- Helikopter! Pomoc nadeszła! Helikopter!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wszyscy zgromadzili się na polanie. Krzyczeli i machali rękami, aby zwrócić uwagę pilota srebrnego helikoptera, krążącego ponad buszem na północ od rozbitej Dakoty.

- Och, dzięki Bogu - wzdychała Ruth. Po jej policzkach spływały łzy. - Wiedziałam, że przylecą. Mój mąż to człowiek bardzo wpływowy.

- Mam nadzieję, że mają na pokładzie coś do jedzenia - cieszył się z góry Paul. Machał rękami, nie mogąc pohamować podniecenia.

Toni cieszyła się równie mocno, jak pozostali. Chwila wybawienia wydawała się już bliska.

Później nie potrafiła powiedzieć, w którym momencie euforia nagle ustąpiła miejsca rozpacz. Wypadki potoczyły się tak niespodziewanie. Chwilę wcześniej wszyscy krzyczeli i podskakiwali, nawet Henry stanął w drzwiach samolotu i głośno informował Lutasa, co się dzieje. Nagle helikopter zawrócił i zaczął się oddalać. Krzyki radości zamarły im na ustach.

- Odlatują!

- Boże, nie zauważyli nas!

- Wracajcie! Jesteśmy tutaj!

Po paru minutach helikopter zmienił się w ledwo dostrzegalny punkcik na niebie. Wszystkich ogarnęło przygnębienie.

- A może nas zauważyli i polecili sprowadzić pomoc?  
- Hilary przerwała ponurą ciszę.

- Być może... - Jack wzruszył ramionami. Odwrócił się i opuścił głowę.

- Gdyby nas zauważyli, z pewnością daliby jakiś sygnał. Wiedzą przecież, że na nich czekamy. - Paul powiedział głośno to, o czym wszyscy myśleli. - Nie - dodał brutalnie. - Nie dostrzegli nas i tyle.

- A może wcale nas nie szukali - zasugerowała Toni. - Może nic o nas nie wiedzieli.

- Oczywiście, że wiedzieli! - krzyknęła **Ruth**. - **Z** pewnością nas szukali. Cóż innego mogliby tu robić?

Toni wzruszyła bezradnie ramionami. Ruth była bliska hysterii. Dyskusja z nią nie miała najmniejszego sensu.

- Z pewnością wrócą - upierała się Ruth. - Jeśli nas nie znajdują, znowu się tu pojawiają. Mój mąż już tego dopilnuje.

- Nie będą przeszukiwać tego samego obszaru... - zaczął Paul.

- Oczywiście, że będą! - zawołała Ruth piskliwym głosem. - Mówię ci, że będą! Jeszcze tu wrócą, zobaczysz.

- Tak, ale kiedy? - mruknął Paul złowieszczo. - Zanim uda im się nas znaleźć, umrzemy z pragnienia... i głodu.

- Zamknij się, Paul - zdecydowanie skarcił go Jack. - Ruth, weź się w garść - dodał i zerknął na pozostałych. - Musimy zdać sobie sprawę z faktów. Nie dostrzegli nas tym razem, więc będą kontynuować poszukiwania. Musimy czekać.

- Myślałam, że zauważą samolot. - Toni spojrzała na Dakotę.

- Widocznie trudniej go dostrzec, niż sądziliśmy - odpowiedział Jack. - Skoro tak, to musimy palić ognisko dzień i noc. To będzie dobry sygnał.

- Ale co będziemy palić? - spytała Hilary. - Wszystkie skrzynki poszły ostatniej nocy.

- No cóż, wokół rosną krzaki, to je spalimy - oświa-

dczył Jack. - Paul, William, bierzmy się do roboty. Trzeba przygotować ognisko.

Wszyscy bez większego entuzjazmu zabrali się do zbierania gałęzi i chrustu.

- Na jak długo wystarczy wody? - Toni zapytała cicho Hilary. Ciągnęły razem dużą gałąź, skoszoną skrzydłem Dakoty.

- Do jutra, do południa - odrzekła równie cicho Hilary.

- Myslę, iż powinniśmy mieć nadzieję, że pilot helikoptera jednak nas dostrzeże - powiedziała Toni. Wprostowała się i wytarła pot z czoła. Już miała znów chwycić gałąź, gdy w krzakach zauważyła coś niebieskiego. Podeszła bliżej.

- Co to takiego? - przestraszyła się Hilary.

- Nie wiem.

Toni zrobiła jeszcze krok naprzód.

- Uważaj. - Hilary złapała ją za rękaw. - To może być jakieś zwierzę.

- Nie słyszałam, żeby zwierzęta nosiły niebieskie płaszcze - mruknęła Toni.

Szarpnęła się i weszła między krzaki. Ostrożnie rozgarniając kłujące gałęzie, dotarła do niewielkiego naturalnego zagłębienia, w którym siedziała Diaka.

Dziewczyna spojrzała na nią swymi ogromnymi oczami. Ramiona miała splecione na kolanach. Toni natychmiast zorientowała się, że Diaka zaczyna rodzić. Kucnęła, wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po policzku.

- Nie bój się - zaczęła łagodnie przemawiać. - Zajmiemy się tobą.

Wyraz twarzy Diaki nie uległ najmniejszej zmianie, ale Toni miała wrażenie, że dziewczyna ją zrozumiała. Spojrzała przez ramię na zaniepokojoną Hilary.

- Mogłabyś zawołać Jacka? - poprosiła.

Hilary bez słowa odwróciła się i pośpieszyła na polanę.

Toni usiadła tuż przy Diace, objęła ją ramieniem i szep-  
tała słowa zachęty. Czuła, jak ciałem dziewczyny wstrzą-  
sają kolejne skurcze.

Niebo poczerwieniało. Zbliżał się zmrok. Jak zwykle  
w Afryce, bardzo szybko zrobiło się ciemno. Nim Hilary  
znalazła Jacka i nim ten przybiegł do nich, niewiele już  
było widać.

Jack kucnął obok i dotknął ramienia Diaki. Spojrzała na  
niego. Przez chwilę rozmawiali, po czym dziewczyna znów  
zwiesiła głowę.

- Co jej powiedziałaś? - spytała Toni.
- Chciałem ją namówić, żeby wróciła do samolotu.
- Nie chce?
- Nie. Woli rodzić tutaj. Tam jest za dużo ludzi.
- Czy możemy jej na to pozwolić?
- Moglibyśmy, ale przypomnij sobie, jak zimno było

ostatniej nocy.

Toni przez chwilę zastanawiała się, co zrobić. Dotknęła  
ramienia Jacka. Gdy odwrócił głowę, przez sekundę wi-  
działa na tle nieba jego ostry profil.

- Możemy poprosić wszystkich, aby poszli do samolo-  
tu. Czy wtedy Diaka zgodziłaby się wrócić do ogniska?
- Zapytam ją - odrzekł i znów zwrócił się do dziew-  
czyny.

Diaka nic nie odpowiedziała. Toni zaczęła się już zasta-  
nawiać, jak odbierze dziecko w takiej ciasnocie, gdy Diaka  
płynnym ruchem wstała, wyprostowała się i z wielką god-  
nością ruszyła w kierunku ogniska.

Toni odetchnęła z ulgą, zerwała się na nogi i pośpieszyła  
za Jackiem i Diaka. W ciemnościach potknęła się o wystą-  
jący korzeń. Krzyknęła z bólu, gdy kilka długich kolców  
wbiło się jej w nogę i ramię. Poczuła, że Jack chwyta ją za  
łokieć i pomaga wstać.

- Nic ci nie jest? - szepnął.



- Wszystko w porządku - odparła. Czuła się wyjątkowo głupio. Na szczęście ciemności skryły jej zakłopotanie.

Jack wciąż trzymał ją za łokieć. Zesztywniała. Nie rozumiała, do czego on zmierza.

- To może być ciężka noc, Toni - powiedział.

- Wiem.

- Henry pewnie będzie potrzebował opieki.

- Wiem...

- Z Lutasem też możemy mieć kłopoty. Nie wiadomo, jak przebiegnie poród...

- Jakoś sobie poradzimy.

- To lubię... - Ucisnęła jej ramię.

Toni nagle poczuła, że sprawia jej to przyjemność. Razem podeszli do ogniska. Po drodze Jack zachichotał.

- Z czego się śmiejesz? - zdziwiła się Toni.

- Jeśli myślisz, że to już koniec listy naszych kłopotów, to niestety masz złudzenia.

- Boże, co znowu?

- Słyszysz ten głos? - Zatrzymał się na chwilę.

Toni również przystanęła. Wyraźnie słyszała histeryczny, maniacki śmiech.

- To tylko hiena, prawda? - chciała się upewnić. - Tak twierdził William.

- Tak, to śmiech hieny - zgodził się Jack.

- Dobrze, że przynajmniej jest wesoła - próbowała zażartować.

- Tak, ale śmiech hieny oznacza, że w pobliżu są lwy - wyjaśnił ponuro.

Toni zadygotała, ale po chwili wzruszyła ramionami.

- Jeden problem więcej, jeden mniej, czy to ma znaczenie? Zresztą, gdzieś czytałam, że wielkie koty boją się ognia. Jeśli tak, to nic nam nie grozi. William zdaje się zamierza wzniecić pożar buszu.

Rzeczywiście, płomienie ogniska strzelały wysoko

w niebo, rzucając ciemne, tajemnicze cienie na krzewy i polanę.

Diaka kucnęła na skraju oświetlonego obszaru. Jack przeko-  
nał pozostałych, aby wraz z nim przeszli do samolotu.

Toni pozostała z Diaka, choć dziewczyna obróciła się do niej plecami. Tylko wstrząsające jej ciałem skurcze wskazywały, że rozpoczął się poród.

Po kilku minutach Jack powrócił, niosąc stertę kurtek i innych ubrań, torbę medyczną i kanister z wodą.

- Niewiele zostało - powiedział, unosząc kanister i sprawdzając w świetle ogniska jego zawartość. - Wszyscy nalegali, abym wziął dla Diaki cały zapas wody.

Toni poczuła dławienie w gardle. Nie mogła nic wykrztusić.

- Każdy ofiarował również po jednej sztuce odzieży ze swych bagaży. Materiał przyda się do sprzątanania. W tych kurtkach powinno być nam dość ciepło. - Jack rzucił ubrania na trawę. - Dałem Henry'emu nitroglicerynę - dodał. - Zrobiłem też zastrzyk Lutasowi. Został jeszcze tylko jeden.

- A reszta w porządku?

- Chyba tak... poza Paulem.

- A co z nim? - Toni zmarszczyła brwi. Jeszcze niedawno Paul wydawał się zdrow. - Co mu się stało?

- Nie jestem pewny, ale zachowuje się dość dziwnie. Mam nadzieję, że nie zbliża się atak astmy.

- Może to z głodu.

- Być może - kiwnął głową Jack. - A jak ty znosisz głód?

- Staram się o tym nie myśleć - powiedziała wymijająco. - A ty?

- Skręcam się z głodu - przyznał. - Powtarzam sobie jednak, że człowiek może długo wytrzymać bez jedzenia. Ważniejsza jest woda.

- Której nam również brakuje. - Toni zerknęła na niemal pusty kanister.

Jack nic nie odpowiedział, tylko kucnął obok Diaki. Toni słyszała, jak rozmawiają w suahili. Po chwili wstał.

- Chce zostać tam, gdzie jest teraz. Namawiam ją, aby zgodziła się na badanie. Nie ma ochoty, ale w końcu chyba skapituluje.

- Czy chcesz, żebym ja ją zbadała? - spytała Toni.

- Na to właśnie liczyłem - odrzekł. - Spodziewam się prostego, normalnego porodu bez żadnych zakłóceń. Diaka jest młoda i zdrowa. Nie możemy jednak zapominać, że dziewczyna miała w okresie ciąży wiele ciężkich przeżyć, w tym również gwałt. Podejrzewam też, że ostatnio kiepsko się odżywiła. Jestem natomiast pewien na sto procent, że nie zgodzi się, abym ja odbierał poród.

- Dlaczego? Przecież zna cię z Jabhati.

- Może i zna. - Jack skrzywił się ironicznie. - Jednak poród to zupełnie coś innego. W tym biorą udział wyłącznie kobiety.

- Chyba dobrze się składa, że tu jestem - zauważyła.

- Tak, Toni, to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności - przyznał.

Nie spodziewała się takiej deklaracji. Coś w jego głosie sprawiło, że poczuła przyspieszone bicie serca.

- Czy mam spróbować zbadać ją teraz? - spytała.

- Nie. Lepiej daj jej trochę spokoju. Początkowe etapy porodu może przejść sama. Później... - lekko wzruszył ramionami - później pewnie trzeba będzie jej pomóc.

- Mam nadzieję, że to nie będzie poród pośladowy - mruknęła Toni.

- Jestem pewien, że poradzi sobie pani ze wszystkim, pani doktor - odparł Jack z nutką rozbawienia w głosie.

- Czyż nie pracowała pani ostatnio na porodówce?

Zerknęła na niego. Siedział z kolanami podciągniętymi

pod brodę, obejmując ramionami nogi. Wydawał się zmęczony.

- Owszem, ale w szpitalu są nieco inne warunki niż tutaj.

- O tym usiłuję przekonać cię już od dawna - wyjaśnił spokojnie. - Warunki pracy tutaj różnią się drastycznie od tych, do których przywykłaś. - Urwał na chwilę. - Zazwyczaj tu wszystko wymaga improwizacji, i to zarówno w buszu, jak i w Jabhati. Trzeba korzystać z tego, co jest i obywać się bez środków, których nie ma. To zupełnie coś innego niż londyński szpital z ultranowoczesnym wyposażeniem i pełną apteką.

Nagle wstał i odszedł w ciemność.

Toni siedziała nieruchomo, wpatrując się w migoczące płomienie ogniska. Odgłosy rozmowy, dochodzące do nich z samolotu, stopniowo cichły. Słyszać było tylko maniacki śmiech hieny i pohukiwania nocnych ptaków.

W pobliżu ogniska było bardzo ciepło. Toni co chwila ziewała. W końcu poddała się senności. Zbudził ją jakiś dziwny, powtarzający się dźwięk. Początkowo sądziła, że to miauczenie jakiegoś zwierzęcia. Podniosła głowę i zaczęła uważnie nasłuchiwać. Nagle zdała sobie sprawę, że dźwięk ten dochodzi z punktu na polanie, gdzie nie sięga już blask ogniska. Wstała, wzięła torbę lekarską i zbliżyła się do Diaki.

Na jej widok dziewczyna podniosła głowę. W świetle ogniska Toni dostrzegła w oczach Diaki strach. Z jej gardła wydobywały się przypominające miauczenie jęki, stopniowo osiągające coraz wyższy, ostry ton.

- Wszystko będzie dobrze, Diaka - odezwała się łagodnie. Zauważyła, że dziewczyna siedzi w kałuży wód płodowych. - Jestem przy tobie. Połóż się i pozwól mi zobaczyć, co się dzieje.

W jakiś sposób bariera językowa przestała być próbie-

mem. Diaka instynktownie posłuchała jej polecenia i położyła się na trawie. Toni wyciągnęła z torby stetoskop.

Bez trudu usłyszała miarowe i mocne uderzenia serca dziecka. Uśmiechnęła się i pokazała Diace skierowany do góry kciuk, po czym zabrała się do badania. Ku jej zdziwieniu, szyjka macicy była już mocno rozwarta.

Szybko ułożyła kilka kurtek bliżej ogniska i namówiła Diakę, aby się tam przeniosła. Ledwo zdażyły, gdy kolejny skurcz wstrząsnął ciałem dziewczyny. Toni zacisnęła ręce na jej dłoniach. Diaka poddała się instynktowi i zaczęła przeć.

Toni pogłaskała ją po głowie i pokazała, jak powinna oddychać. W tym momencie nocną ciszę przerwał potężny, basowy ryk.

Lew, pomyślała Toni z roztargnieniem. Uniosła na sekundę głowę, aby lepiej słyszeć. Jack miał rację, że śmiech hieny świadczy o obecności lwa.

W pewnej chwili obrzuciła wzrokiem całą polaną. W ciemnościach dostrzegła sylwetkę Jacka. Wiedziała, że jest tam, gotów jej pomóc, gdy okaże się to konieczne.

Jeszcze dwa potężne skurcze i pokazała się główka dziecka. Toni podtrzymała ją; czuła pod palcami miękkie włoski. Równocześnie pokazała Diace, aby chwyciła kilka krótkich, gwałtownych oddechów, co powinno spowolnić poród.

Na próżno. Wystarczył jeszcze jeden mocny skurcz i dziecko pojawiło się na świecie.

Toni spojrzała na Diakę. W jej oczach dostrzegła nieme pytanie. Uniosła do góry dziecko, aby Diaka mogła zobaczyć swą córeczkę. Następnie przewiązała bandażem pępowinę i przecięła ją skalpelem. Owinęła dziecko w miękką, batystową chustę, która z pewnością należała do Ruth. Podała niemowlę mamie i nakryła oboje kurtką.

Teraz mogła sekundę odpocząć. Kucnęła i wierzchem

dłoni wytarła pot z czoła. Szczęśliwy poród sprawił jej taką samą radość, jak Diace.

Za jej plecami coś się poruszyło. To Jack podszedł bliżej i w milczeniu przyglądał się całej scenie. Toni wstała, po czym dosłownie rzuciła mu się w ramiona.

Przytulił ją mocno do siebie. Słyszała mocne uderzenia jego serca.

- Dobrze sobie poradziłaś - szepnął, muskając ustami jej włosy.

Przez kilka sekund Toni nie myślała o niczym. Po prostu tuliła się do niego. Dopiero po dłuższej chwili usłyszała dobiegające z ciemności szelesty. Jack nie zwracał na to uwagi.

- Co to...? - Pytanie zamarło jej na wargach.

Jack zachichotał i przytulił ją jeszcze mocniej.

- To cała nasza załoga - wyjaśnił krótko.

- Naprawdę? - zdziwiła się Toni. Była przekonana, że wszyscy śpią w samolocie.

- Myślę, że powinniśmy zaspokoić ich ciekawość.

Nim Jack wypuścił ją z objęć, lekko musnął wargami jej policzek. Ten pocałunek był tak delikatny, że Toni nie była pewna, czy zdarzyło się to naprawdę.

- To dziewczynka! - krzyknął. Echo powtórzyło jego słowa.

Odpowiedziały mu okrzyki radości. Wszyscy siedzieli na trawie koło Dakoty, cierpliwie czekając na wieści.

Toni nie mogła iść spać, musiała jeszcze zająć się Diaką i dzieckiem. Gdy dziewczyna urodziła łożysko, Jack zba-  
dał je, a następnie wyrzucił.

Toni podała Diace kubek wody. Młoda mama z wdzięcznością wypija jego zawartość. Niemowlę już przyssało się do jej piersi.

Zbliżał się świt. Przy pomocy Jacka Toni namówiła Diakę, aby wróciła do samolotu i tam odpoczęła. Murzynka

przytuliła mocno dziecko, sama wstała i skierowała się do samolotu. Szła lekkim krokiem, trzymając się prosto jak świeca. W żaden sposób nie można było po niej poznać, że właśnie przed chwilą urodziła dziecko.

- Ty też powinnaś odpocząć - powiedział Jack do Toni.  
- To była ciężka noc. - Uśmiechnął się serdecznie. - Serenada lwów stanowiła świetne dopełnienie całości.

- Prawie ich nie słyszałam. - Toni zdobyła się na błądy uśmiech. - W innych okolicznościach pewnie umarłabym ze strachu, że zaraz nas zaatakują... - Wzruszyła ramionami i spojrzała na niego. - Ty też zasłużyłeś na odpoczynek.

- Pewnie posłucham twojej rady i trochę się prześpię.  
- Kiwnął głową. - Nie wątpię, że rano będą nas czekać nowe problemy.

- Możemy na to liczyć.

Toni szeroko ziewnęła i ze znużeniem wspięła się do samolotu. Skinieniem głowy odpowiedziała na pochwały przyjaciół, po czym rozciągnęła się na dwóch fotelach i natychmiast zasnęła.

Gdy się zbudziła, w kabinie było już zupełnie jasno. Przez kilka sekund nie mogła sobie uprzytomnić, co się stało. W końcu uniosła głowę i spojrzała w kierunku ogona samolotu.

Na jednym z tylnych foteli leżała Diaka z córeczką przy piersi. Obie spały. Z tego miejsca nie mogła dostrzec Lutasa, ale założyła, że pilot leży tam gdzie zawsze. Prócz nich w samolocie nie było nikogo.

Toni przeciągnęła się i jeszcze parę minut leżała nieruchomo na fotelu. Bolały ją zeschnięte niczym pergamin wargi, czuła drapanie w gardle, a głód skręcał jej wnętrzności. Mimo to była w radosnym nastroju.

Czy to tylko z powodu dziecka Diaki? Rzecz jasna Toni była bardzo zadowolona z szybkiego, normalnego porodu bez żadnych komplikacji, jednak to nie było wyłącznym

źródłem jej radości. Cieszyła się z wyraźnego zbliżenia między nią i Jackiem, które nastąpiło za sprawą wzięcia na siebie wspólnej odpowiedzialności za Diakę, dziecko i wszystkich pozostałych. Świetnie pamiętała ten cudowny moment, gdy Jack trzymał ją w ramionach. Na policzku wciąż czuła muśnięcie jego warg. Z pewnością to nie było złudzenie. A może to tylko magia afrykańskiej nocy? Toni skuliła się na fotelu.

Jakieś krzyki przerwały jej rozmyślenia. Niechętnie otworzyła oczy. Wciąż słyszała czyjeś gniewne głosy. Z rezygnacją usiadła i spuściła nogi z fotela. Była cała sztywna, każdy ruch wymagał z jej strony ogromnego wysiłku.

Przecierając oczy, pokuśtykała do drzwi. Zmrużyła powieki, chroniąc oczy od nadmiaru światła. Wszyscy stali przy tłącym się ognisku. Miała wrażenie, że się kłóca. Gdy ją zauważyli, zapadła cisza.

- Co się stało? - spytała, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. W końcu zatrzymała spojrzenie na Jacku.

- To William - krótko powiedział Jack.

- William? - powtórzyła Toni. Dotychczas nie mieli z nim żadnych problemów. - Co z nim?

- Odszedł - odparł Henry.

- Co to ma znaczyć? Gdzie odszedł? - Toni przez chwilę myślała, że może William zmarł.

- Wiemy tyle, co i ty - mruknął Paul. - Prysnał gdzieś w nocy.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co takiego? - Toni z niedowierzaniem przyglądała się twarzom zgromadzonych.

- Nie tylko prysnął - fuknęła Ruth - ale wziął ze sobą kanister z wodą. Tego się można było spodziewać. Od początku mówiłam, że będą z nim kłopoty. Prawda, Henry? Słyszałeś, jak mówiłam, prawda?

- Tak, Ruth - potwierdził Henry znużonym głosem.  
- Mówiłaś.

- Kłopoty? O czym ty mówisz? - Toni spojrzała z oburzeniem na starszą kobietę. - Właśnie z Williamem mieliśmy najmniej kłopotów.

- Wygląda na to, że postanowił nadrobić zaległości - prychnęła Ruth. - Ciekawe jak długo, jego zdaniem, przeżyjemy tu bez kropli wody.

- W kanistrze i tak już było bardzo mało - powiedział niechętnie Henry, tak jakby nie mógł uwierzyć, że William zrobił coś takiego.

- Ale zawsze coś. - Ruth nie dała się przekonać.

W tym momencie usłyszeli okrzyk Hilary, która na chwilę weszła do samolotu.

- Nic się nie stało. - Hilary zaraz pojawiła się w drzwiach. - William wziął kanister, ale zostawił wodę. Napełnił wszystkie nasze pojemniki.

Rozległo się zbiorowe westchnięcie. Ruth zaczerwieniła się ze wstydu.

- Jak myślisz, dokąd on poszedł? - spytała Toni, pa-

trząc na Jacka. Z przykrością zauważyła, że kiepsko wygląda. Był wyraźnie zmęczony i wychudzony.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Możesz sama zgadywać.

- A ty, jak myślisz, Jack? - odezwał się Henry.

- Myślę, że poszedł poszukać wody.

- Sądzisz, że coś znajdzie? - Paul nieco się ożywił. Siedział tuż przy ognisku. Wydawał się nieco zaczerwieniony, ale na szczęście oddychał równo i swobodnie.

- Miejmy nadzieję - odrzekł Jack bez większego przekonania. - Wczoraj nie widzieliśmy ani śladu wody, ale może tym razem William poszedł w innym kierunku.

- Czy wziął ze sobą rewolwer? - zainteresowała się nagle Hilary.

- Nie. - Jack potrząsnął głową. - Ja mam broń.

- Co będzie, jeśli zaatakuje go jakieś zwierzę? - Hilary spojrzała na niego poważnie zaniepokojona. - Te lwy ryczały gdzieś w pobliżu.

- Ich ryk niesie się daleko. Z pewnością były dalej, niż myślisz - odparł Jack. - Prócz tego William wie, jak sobie poradzić w buszu.

- Być może powinniśmy go wysłać po pomoc już pierwszego dnia - mruknął Henry.

- Może tak, może nie. Według mnie jesteśmy tak daleko od jakiegokolwiek osiedla, że nikt nie zdołałby dotrzeć tam piechotą.

Zapadła ponura cisza. Wyglądało na to, że wszystkich ogarnęła rozpacz. Jack zdecydowanym gestem zsunął kapelusz na oczy.

- Jak się czuje Diaka? - spytał.

- Śpi - odpowiedziała Toni. - Dziecko również.

- Dobrze. Sprawdź, czy jest jej wygodnie i czy ma coś do picia. Musimy też zmienić opatrunek Lutasowi. Hilary, co nam zostało do jedzenia?

- Tylko biszkopty - odrzekła spokojnie.

- Podziel je między wszystkich. Nie zapomnij o Diace
- polecił krótko, po czym zwrócił się do Henry'ego i Paula.
- Trzeba rozpalić ognisko. Musimy mieć pewność, że następnym razem nas zauważą.

Henry ciężko westchnął i ruszył w stronę krzaków. Paul powoli uniosł się z trawy.

- Dobrze się czujesz, Paul? - spytała go Toni.
- Tak, w porządku - wymamrotał.
- Nie masz kłopotów z oddychaniem?
- Nie. - Pokręcił głową. - Najwyraźniej głód i pragnienie to dobre lekarstwo na astmę. Zapamiętam to na przyszłość. - Zaśmiał się z żartu, który trafnie ujmował beznadziejność ich sytuacji.

Wszyscy bez entuzjazmu wzięli się do roboty. Tego ranka Lutas wydawał się bardzo słaby. Majaczył. Toni zmieniła opatrunki, a Jack wstrzyknął mu ostatnią dawkę morfiny, po czym zostawili go w spokoju, aby odpoczął.

Gdy podeszli do Diaki, dziewczyna uniosła głowę i uśmiechnęła się do Toni. Właśnie karmiła dziecko. Jack zbadał niemowlę, a Toni podarła jakieś koszule, aby zrobić z nich pieluchy.

- Mała jest w świetnym stanie. - Jack uniosł dziewczynkę do góry. Przez chwilę przyglądał się jej z czułym uśmiechem. - Piękne dziecko - dodał, po czym powiedział coś w suahili i oddał małeństwo Diace.

Gdy skończyli oględziny ran Lutasa, Jack zbadał jeszcze Henry'ego. Na szczęście bóle serca nie wróciły. Hilary rozdzieliła resztki jedzenia i wody.

Siedzieli na zewnątrz, jak najdalej od ogniska, aby uniknąć gorąca. Jedli powoli, rozkoszując się każdym kęsem. Nikt nie wiedział, jak długo przyjdzie im czekać na następny posiłek.

- Nigdy już nie będę narzekać na angielskie muchy
- mruknęła Toni. - W porównaniu z tymi są niemal sym-

patyczne. Dobrze chociaż, że nie ma tu moskitów, tak jak w Nairobi.

- To prawda - odpowiedziała Hilary, tłumiąc ziewnięcie. - Zauważyłaś, że te cholerne sępy gdzieś zniknęły?

- Nie. - Toni uniosła głowę. - Rzeczywiście, nigdzie ich nie widać. Może zrezygnowały.

- Nie wierz temu - wtrącił Paul ponurym głosem. - Ukryły się i czekają, aż któregoś z nas wyciągnie kopyta. Wtedy się zlecą i rozdziobią trupa...

- Czy mógłbyś zachować te swoje przepowiednie dla siebie? - przerwała mu Ruth. W jej głosie brakowało zwykłej agresji.

Toni zerknęła na nią. Zastanawiała się, jak w rzeczywistości Ruth znosi te warunki. Przestała narzekać na ból ramienia, w zasadzie w ogóle przestała narzekać. Odzywała się teraz bardzo rzadko. Związała włosy z tyłu, twarz miała pokrytą kurzem i brudem. Przepocona bawełniana bluzka kleiła się jej do ciała. Jednak najbardziej martwił Toni wyraz jej oczu. Brak w nich było nawet najmniejszych śladów życia i energii. Jak długo jeszcze Ruth zdoła wytrwać? Jak długo wytrwają wszyscy pozostali? Poczwała, że ogarnia ją panika. Instynktownie przeniosła spojrzenie na Jacka. Obserwował ją. Siedział oparty o drzewo, w odległości paru metrów od wszystkich. Zsunął kapelusz na czoło i przyglądał się jej spod ronda. Toni już miała odwrócić głowę, gdy ledwo dostrzegalnym gestem przywołał ją do siebie. Spokojnie wstała i podeszła do niego. Usiadła obok, w cieniu drzewa.

Oboje milczeli. Po paru minutach Jack nakrył ręką jej dłoń. Nawet nie próbowała jej cofnąć. Jego bliskość przynosiła ulgę, była źródłem pociechy.

A może umrzemy tak siedząc obok siebie? - przyszło jej nagle do głowy. Ta myśl sprawiła jej jakąś perwersyjną przyjemność. To byłoby wyzwolenie od upału, głodu i pra-

gnienia... Toni pomyślała, że z przyjemnością wyciągnę-  
łaby się obok tego mężczyzny i pograżyła w nicości.

Z drugiej strony, byłoby lepiej, gdyby przedtem się  
kochali... Na myśl o tym Toni uśmiechnęła się do sie-  
bie. Czyżby miała halucynacje? Do diabła, może rzeczy-  
wiście? Ciekawe, jakim kochankiem byłby Jack Christy...  
Namiętym i sprawnym? Czułym i delikatnym? Przy-  
pomniała sobie, z jaką czułością Jack patrzył na dziecko  
Diaki.

Mimo upału nagle wstrząsnęły ją dreszcze. Zaciśnęła  
zęby i pomyślała, że musi wziąć się w garść. Co też przy-  
szło jej do głowy? Powinna pamiętać, że Jack ma już  
narzeczoną; pewnie właśnie o niej myślał, siedząc w mil-  
czeniu pod drzewem. Z pewnością zastanawiał się, czy  
jeszcze kiedyś zobaczy swoją piękną Shakirę, czy kiedyś  
jeszcze ją przytuli i będzie się z nią kochał. Na pewno nie  
zechciałby kochać się z nią... To byłaby zdrada. Jeśli jed-  
nak mieli umrzeć, cóż to miało za znaczenie?

Nie mogła zapanować nad kłębiącymi się w jej głowie  
myślami. W końcu, zmęczona upałem, przymknęła oczy  
i zasnęła.

Obudził ją odgłos czyichś kroków. Najwyraźniej ktoś  
biegł w ich stronę, przeciskając się między krzewami. Toni  
szybko usiadła i rozejrzała się dookoła. Zdażyła zobaczyć,  
jak na polanę wpada William, dźwigając przed sobą kani-  
ster napełniony wodą. Jack zerwał się na nogi jeszcze przed  
nią, pozostali reagowali wolniej, z trudem przewyciężając  
wywołane upałem otępienie.

William ciężko dyszał, ale uśmiechał się od ucha do  
ucha. Uniósł kanister do góry, tak aby wszyscy zobaczyli,  
że jest pełny.

- Niech mnie diabli! - zaklął Henry, klepiąc go po ra-  
mieniu. - Gdzieżeś znalazł wodę?

- Znalazłem wodopój - sapnął William. Podał kanister

Jackowi, po czym pochylił się i oparł rękami na kolanach. Z trudem odzyskiwał oddech.

- Gdzie? - Jack chwycił kanister i uważnie przyjrzał się jego zawartości.

- Z drugiej strony. - William wskazał palcem na pobliską górę. - Poprzednim razem poszliśmy w złym kierunku.

- Po chwili wyprostował się. Oddychał już niemal normalnie. - No i te lwy. Jak są lwy, musi być woda w pobliżu. Rano nie było sępów. To znaczy, że poleciały jeść resztki z lwiej zdobyczy.

- To znaczy, że one wcale nie czekały na naszą śmierć! - zaśmiała się Hilary. - A mnie dręczyły takie koszmary! Jak daleko jest do wodopoju?

- Dwa, trzy kilometry, nie więcej - odrzekł William.

- No, to przynajmniej nie będziemy musieli racjonować wody - ucieszył się Paul. - Zaraz przyniosę kubek.

- Spokojnie, Paul - zdecydowanie powstrzymała go Hilary. Wszyscy spojrzeli na nią. - Przed wypiciem wodę trzeba koniecznie przegotować.

- Och, daj spokój. - Paul spozjrzał na nią ze zniecierpliwieniem. - Wiemy, że jesteś ekspertem od spraw wody, ale tu mamy do czynienia z wyjątkową sytuacją. Na litość boską, przecież wkrótce umrzemy wskutek odwodnienia organizmu.

- Dobrze o tym wiem - odparła Hilary. - Aż za dobrze. Od dwudziestu czterech godzin mam biegunkę i już myślałam, żeby na stałe zamieszkać w latrynie. Dobrze wiem, co to znaczy odwodnienie...

- W ogóle o tym nie wspomniałaś. - Toni była zaskoczona.

- Miałaś dość problemów na głowie i bez moich narzeknięć - surowo odrzekła Hilary. - Ostrzegam was jednak, że picie nie przegotowanej wody łatwo może się źle skończyć.

- Hilary ma rację - poparł ją Jack.

- Czy to znaczy, że biedny William męczył się na próżno? - oburzyła się Ruth, zupełnie zapominając, że jeszcze niedawno podejrzewała go o wszystko co najgorsze.

- Wcale nie - zaprzeczył.

- Ależ Hilary powiedziała, że wodę trzeba przegotować! - krzyknęła Ruth.

- Zatem ją przegotujemy.

- Ale jak... Przecież nie mamy żadnego garnka.

Ruth gorączkowo rozejrzała się dookoła. Henry już podszedł do Dakoty i zaczął się przyglądać poszyciu skrzydła. Jack przeciął polanę i zbliżył się do niego.

- Czy wpadłeś na ten sam pomysł, co ja, Henry? - zwrócił się do niego.

W parę minut później walił w skrzydło siekierą Lutasa. W ciągu godziny udało im się wyrwać spory kawał blachy i uformować z niej prymitywną miskę.

Podczas gdy przygotowywali ognisko, na którym chcieli zagotować cenną wodę, Jack zaproponował Williamowi, aby zaprowadził go do źródła.

- Gdzie jest woda, tam musi być również jedzenie - powiedział krótko. William pokiwał głową.

Tym razem nie było ich około godziny. Gdy wrócili, każdy niósł upolowanego ptaka.

- Coś w rodzaju pardwy - wyjaśnił Jack, rzucając zdobycz na trawę. - William je złapał. Dwa ptaki dla dziewięciorga to jeszcze nie uczta, ale może dzięki temu zapomniemy o najgorszym głodzie.

- Ale jak on... - zaczął niespokojnie Paul. W tym momencie zapomniał o podstawowych potrzebach organizmu. Interesował go tylko los tych ptaków.

- Lepiej nie pytaj - powstrzymał go Jack.

- Pewnie będzie lepiej, jeśli się nie dowiemy - powiedziała Hilary. - Zresztą to walka o przeżycie, nic dziwnego w przyrodzie.

Paul kiwnął głową. Głód wygrał w nim walkę ze skrupułami ekologa.

W ciągu następnej godziny na polanie panowała wzmożona aktywność. Zbliżał się zmrok. William i Paul narąbali drewna i rozpalili wielkie ognisko. Henry przygotował niewielki ruszt. Hilary oczyściła i oskubała ptaki. Wkrótce wokół rozszedł się smakowity zapach pieczonego mięsa.

Na polanie zapanowała atmosfera przyjęcia. Wszyscy siedzieli przy ognisku i jedli, opowiadając przy tym anegdoty i dowcipy. Pochłonęli wszystko dokładnie, nawet najdrobniejsze kawałki, oblizując potem palce.

Następnie ugotowali dla Lutasa i Diaki zupę na kościach. Pilot wciąż majaczył, a Murzynka potrzebowała więcej jedzenia, aby móc karmić dziecko.

Po kolacji w dalszym ciągu siedzieli przy ognisku, tak jakby się bali, że czar zaraz pryśnie. Za wszelką cenę starali się zachować dobry nastrój, który ogarnął ich od chwili, gdy William przyniósł wodę.

Henry zaczął opowiadać o nadchodzącym ślubie córki, Hilary o spodziewanym awansie, a Ruth o wyjeździe do Kanady, gdzie urodził jej się wnuk.

- A co z tobą, Jack? - spytał nagle Henry.

- Ze mną? - zdziwił się. W świetle ogniska rysy jego twarzy wydawały się łagodniejsze niż zazwyczaj. - Co ma być ze mną?

- Jakie masz plany na przyszłość?

Toni wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

- Myślisz o planach, jakie mieliśmy przed katastrofą, czy też ich obecnej wersji? - spytał enigmatycznie Jack.

- Nie wiem - odrzekł Henry po krótkim namyśle. - Sądzisz, że nastąpią poważne zmiany?

- Jestem tego pewny - potwierdził spokojnie Jack. Podniósł z ziemi patyk i zaczął coś rysować na piasku.  
- Twierdzą nawet, że nikt z nas nie pozostanie takim sa-



mym człowiekiem, jakim był przed katastrofą. Jeśli przeżyjemy, światopogląd każdego z nas ulegnie zdecydowanej przemianie. Zmienia się nasze poglądy na sens życia i działania.

Zapadła cisza. Wszyscy zaczęli rozmyślać o swoich marzeniach i planach. Toni zastanawiała się, czy w ten sposób Jack chce powiedzieć, że przestanie romansować z Shakirą i w końcu wezmą ślub. Na myśl o tym posmutniała.

- Sądzisz, że przeżyjemy, Jack? - spytała Hilary. - Teraz, gdy mamy wodę, nasze szanse ogromnie wzrosły. Możemy wytrwać znacznie dłużej, a nie potrafię sobie wyobrazić, żeby władze przerwały poszukiwania. Znajdą nas, to tylko kwestia czasu.

Toni nagle przyszło do głowy, że nie chciałyby, aby to się szybko skończyło. Natychmiast jednak oddaliła te myśli. Czemuż miałyby tego pragnąć? Czyż nie była równie zrozpaczona jak pozostali, gdy tamten helikopter odleciał, nie dając żadnych sygnałów?

Od tego czasu nastąpiły jednak zmiany. Pokazali, że potrafią przeżyć w buszu. William znalazł wodę i jedzenie... a ona i Jack... ona i Jack...

Nie określiła do końca swojej wizji. Wstała, wytarła ręce w spodnie i poszła do samolotu.

Tej nocy dobrze spała. Budził ją tylko płacz głodnego niemowlęcia.

Rano poczuła na ramieniu dotknięcie czyjejś ręki. Było jeszcze dość ciemno, więc nie mogła rozpoznać, kto się nad nią pochyla.

- Co się stało...? - zaczęła, ale mężczyzna położył palec na ustach, nakazując ciszę. Gestem wskazał, aby wstała i poszła za nim.

Dopiero przy drzwiach, w świetle ogniska, Toni poznała

Jacka. Wskoczył pierwszy i wyciągnął rękę, aby pomóc jej wsiąść.

- Czy coś się stało? - szepnęła.

- Tym razem nie - mruknął cicho. - Chcę ci tylko coś pokazać.

Ogniska pilnował William. Gdy go mijali, uniósł rękę, tak jakby życzył Jackowi powodzenia. Toni miała wrażenie, że Jack realizuje plan, który omówił z Williamem. Była tym zaintrygowana, ale ufała mu na tyle, że bez żadnych pytań ruszyła za nim w głąb buszu.

Na ciemnym niebie widać było setki gwiazd, ale nim doszli na miejsce, zaczęło świtać. Między gałęziami drzew prześwitywała delikatna mgła.

Droga pośród skał była niemal niewidoczna, ale jakoś ją odnaleźli, choć ciernie poszarpały im ubrania i pozostawiły liczne zadrapania na nogach i ramionach. Wąska ścieżka przypominała tunel między dwiema skalnymi ścianami. Gdy przedostali się na drugą stronę góry, zobaczyli przed sobą nie kończącą się sawannę z licznymi kępami akacji i krzewów.

Toni zaczęła się już zastanawiać, jak daleko jeszcze Jack zamierza ją wyciągnąć, gdy chwycił ją za rękę i położył palec na ustach, nakazując ciszę.

Powoli i ostrożnie ruszyli do przodu, po lekko pochylonym zboczach. Gdy dotarli do grani, Jack ukląkł, rozgarnął rękami gałęzie i wskazał jej coś ręką. Toni również ukląknęła i spojrzała we wskazanym kierunku. Niewiele brakowało, a krzyknęłaby ze zdumienia.

Przed nimi rozciągała się gładka powierzchnia stawu, otoczonego piaszczystymi brzegami. Na pierwszym planie widać było dwa bawoły, nurzające się w wodzie aż po łopatki. Nieco dalej piły wodę gazele, wdzięcznie wyginając szyje. Jednak dla Toni najbardziej fascynujący był widok słońca, które właśnie dotarły do wodopoju.

Stado składało się z wielkiego samca, kilku samic i paru młodych, w tym dwóch zupełnych maleństw, wyglądających jak miniatutki dorosłych. Toni i Jack przyglądali się, jak słonie piją i nawzajem polewają się wodą, wachlując się przy tym ogromnymi uszami.

- Chciałem, żebyś zobaczyła taką Afrykę - szepnął Jack. - To, co widziałeś dotychczas, było dość ponure. Taki widok to prawdziwy cud.

Ponad akacjami otaczającymi wodopój nagle pojawiła się ognista kula. W świetle wschodzącego słońca zwierzęta wyglądały tak, jakby emitowały pomarańczową poświatę.

- Czy wiedziałeś, że tu są słonie? - szepnęła Toni.

- Tak. William i ja zauważyliśmy ich ślady, gdy byliśmy tu poprzednim razem. Umówiliśmy się, że nikomu nic nie powiemy.

- Dlaczego? O lwach wiedzieliśmy wszyscy.

- To prawda - mruknął Jack. - Lwa można jednak powstrzymać kulą z rewolweru Lutasa. Nie ma jednak sposobu, aby zatrzymać stado słoni.

- Wydają się takie delikatne. - Westchnęła, oczarowana widokiem igraszek zwierząt, kontynuujących swą poranną toaletę.

- Zapewniam cię, że gdyby tylko zechciały, zrównałyby nasz obóz z ziemią.

- Czy w pobliżu są również lwy? - zaniepokoiła się Toni.

- Niewątpliwie. Pewnie obserwują wodopój, czekając na okazję, gdy jakaś gazela zapomni o czujności.

- Masz rewolwer? - upewniła się.

Jack nic nie odpowiedział. Toni nagle się zaniepokoiła.

- Mam nadzieję, że wzięłeś broń? - spytała z naciskiem.

- Nie. - Pokręcił głową. - Zostawiłem rewolwer Williamowi.

- A co będzie, jeśli... - zdenerwowała się.

- Nic takiego się nie zdarzy. - Trafnie odczytał jej my-

śli. - Jeśli zostawimy zwierzęta w spokoju, z pewnością nas nie zaatakują. Wziąłem tylko ciebie, bo nie chciałem ryzykować paniki w wypadku spotkania z lwami.

Jego pewność i zaufanie, jakim ją obdarzył, sprawiły, że Toni się uspokoiła. Obserwowała wodopój, zafascynowana pięknem i prostotą natury.

- Musimy już wracać - szepnął po jakimś czasie.

- Mogłabym tu zostać cały dzień - odpowiedziała rozmarzona.

- Wiem, ale musimy wracać do obozu. William będzie się niepokoił i przyjdzie nas tu szukać.

Wstali, starając się zachować ostrożność, ale mimo to spłoszyli stado ptaków, które zerwały się z drzew i utworzyły na niebie kolorową chmurę.

Toni wstrzymała oddech i kurczowo chwyciła Jacka za ramię. Oboje stali nieruchomo. Słonie uniosły głowy i zaczęły niespokojnie węszyć, a gazy odbiegły na drugą stronę wodopaju.

Po kilku minutach ptaki wróciły na gałęzie i znów zapanał spokój. Żadna płowa błyskawica nie wyskoczyła z krzaków, by zdobyć coś do jedzenia. Toni odetchnęła z ulgą.

Jack objął ją ramieniem. Gdy tak stali obok siebie, wyraźnie widziała jego sokoli profil i jasną grzywę włosów, mocne mięśnie ramion i intensywną opaleniznę. Czowała na sobie czujne spojrzenie szarych oczu. Zapach jego ciała zwiększał jej podniecenie.

Gdy chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, zapomniała, że jest brudna, nie uczesana, a jej koszula to już tylko strzępy. Jack objął dłońmi jej twarz. Czowała na policzkach twardą skórę i niecierpliwie czekała na pocałunek.

W tym momencie zapomniała o Shakirze i o tym, że Jack nie jest wolny. Liczyła się tylko magia tej chwili. Czowała wyłącznie dotknięcie jego warg, ciepło słonecznych

promieni i coraz większe pragnienie połączenia się z Jackiem.

Zacisnęła powieki, aby nie widzieć jego twarzy. Całował ją coraz mocniej i głębiej, przygarniając do swego prężnego ciała. Toni świetnie pamiętała, co czuła, gdy przytulał ją tak poprzednim razem. Wtedy zrobił to, aby ją ogrzać, ale dla niej to nie stanowiło wielkiej różnicy. Przywarła do niego natychmiast, tak jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Zapomnieli o pięknie otaczającej ich przyrody i trwali w objęciach, wsłuchani w bicie swoich serc. W końcu Jack odsunął się od niej.

- Chciałbym, abyśmy mogli pozostać tu na zawsze - powiedział drżącym głosem.

- Ja również. - Uśmiechnęła się. - Może powinniśmy to zrobić.

- Nie kuś mnie. To nie takie proste. Musimy wracać.

Spojrzała na niego uważnie. Z pewnością Jack mówił o powrocie do cywilizacji, do Shakiry, do prawdziwego życia. Przełknęła ślinę i odwróciła się do niego plecami. Ten pocałunek nic nie znaczył. Czyż mogło być inaczej? Nie powinna się zgodzić.

- Jeśli się nie ruszymy, William przybędzie tu wkrótce z ekipą ratunkową - ostrzegł ją.

Czyżby przed chwilą chodziło mu tylko o powrót do obozu?

Podał jej rękę. Poczuła, że serce bije jej radosnym rytmem. Teraz nabrała pewności, że ten pocałunek miał jednak znaczenie.

Raz jeszcze spojrzeli na wodopój i ruszyli w drogę. Toni powtarzała sobie cały czas, że ten mężczyzna ma narzeczoną. Jeśli pozwoli sobie na jakieś złudzenia, to z pewnością źle się to dla niej skończy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na skraju polany spotkali Hilary. Szła, trzymając się za brzuch. Spojrzała na nich przenikliwym wzrokiem. Toni odniosła wrażenie, że przyjaciółka dokładnie wie, co stało się między nimi.

- Jack zabrał mnie do wodopoju, żeby pokazać mi zwierzęta. Widzieliśmy stado słońi i gazy... To było niezwykle piękne - powiedziała, usiłując ukryć zakłopotanie.

- Wyobrażam sobie - skwitowała tę informację Hilary.

- Jack, nie pozwól, żeby ktokolwiek się tam kąpał. Nawet jeden łyk może mieć fatalne skutki.

- Masz rację - przyznał. - Muszę tam jednak zaprowadzić Paula. To dla niego pewnie będzie wystarczająca rekompensata za katastrofę i głód.

- Wątpię, by w tej chwili Paul był czymkolwiek zainteresowany - odrzekła. Zgięła się niemal wpół i jeszcze mocniej przycisnęła rękę do brzucha.

- Wciąż masz biegunkę? - spytała Toni.

- Gdybym w takim stanie wróciła z restauracji, z pewnością pozwabiłabym właściciela o trucie klientów - odparła sarkastycznie, po czym ruszyła w kierunku latryny.

- Co z Paulem?! - krzyknął jeszcze Jack. - Astma?

- Chyba nie. - Hilary zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię. - Coś mu jednak dolega. Lepiej dokładnie go zbadajcie.

Przyśpieszyła kroku. Teraz już nie mogła o niczym myśleć.

Gdy dotarli na polanę, William gotował wodę, a Henry rąbał drewno na ognisko. Był cały czerwony i spocony.

- Spokojnie, stary! - krzyknął do niego Jack. - Odpocznij, nie przesadzaj.

Henry na chwilę przerwał, otarł rękawem pot z czoła, po czym znów zaczął wymachiwać siekierą.

Paula odnaleźli w kącie kabiny samolotu. Leżał na boku, po twarzy spływały mu kropelki potu. Oboje kucnęli przy nim.

- Kiepsko się dziś czujesz, prawda, Paul? - zagadnął go Jack.

Paul tylko pokręcił głową, nie otwierając oczu.

- Masz atak astmy? - łagodnie spytała Toni.

- Nie! - krzyknął ostro.

Toni cofnęła się, zdumiona gwałtownością jego reakcji.

- Spokojnie, stary - powiedział Jack. - Toni cię tylko spytała.

- Przepraszam - wymamrotał po chwili Paul. - To dlatego, że wszyscy zawsze zakładają, że mam atak astmy.

Odwrócił głowę i zamknął oczy.

- Powiedziałbym, że to dość rozsądne założenie - zauważył Jack. Zerknął na Toni, która tylko pokręciła głową na znak, że nie ma pojęcia, co może mu dolegać.

- Czy powiesz nam, co ci jest? - spytał Jack.

Paul milczał.

- Czy coś cię boli? - nalegała Toni. - Głowa? Może masz dreszcze?

Wciąż żadnej odpowiedzi.

- No dobrze, może będzie lepiej, jeśli zostawimy cię w spokoju - oznajmiła Toni i poklepała go po nodze.

Paul krzyknął i podskoczył, tak jakby ktoś dotknął go rozpalonym żelazem. Dziecko Diaki obudziło się i zaczęło płakać.

- Co z twoją nogą? - spytał Jack, mierząc go uważnym spojrzeniem.

- Nic.

- Skoro nic, to chyba możemy ją zobaczyć, prawda?

- Nie czekając na odpowiedź, pochylił się i podciągnął nogawkę jego spodni. Prawa łydka Paula była owinięta przesiąkniętym krwią materiałem, najwyraźniej częścią koszuli. Wokół tego prymitywnego opatrunku widać było spuchnięte i zaczerwienione ciało.

- Do diabła, co to takiego? - spytał Jack. - Kiedy to się stało?

Paul nic nie odpowiedział, tylko zacisnął zęby. Jack zaczął rozwijać bandaż.

- Kiedy się zraniłeś, Paul? - łagodnie spytała Toni.

- Podczas katastrofy?

Paul przytaknął. Toni ze strachem czekała, co zobaczy, gdy Jack odsłoni ranę. Przypomniała sobie nogi Lutasa.

Rana Paula nie wyglądała jednak bardzo poważnie. Było to raczej głębokie cięcie długości pięciu centymetrów. Toni odetchnęła z ulgą.

Jednak gdy Jack zaczął badać ranę, Paul krzyknął z bólu. Ze środka wydobywała się ropa. Toni zdała sobie sprawę, że to poważniejsza sprawa, niż sądziła.

- Na litość boską, dlaczego od razu o tym nie powiedziałeś? - zezłościł się Jack. - Przecież pytałem wszystkich, czy odnieśli jakieś obrażenia.

- Myślałem, że to głupstwo - mruknął Paul.

- Głupstwo! Chyba nawet ty wiesz, że w takich warunkach bardzo łatwo o zakażenie.

Jack zaklął i wstał.

- Pójdę po wodę - powiedział do Toni. - Znajdź opatrunek i jakieś środki odkażające. Nic innego nie możemy teraz zrobić.



Odwrócił się i szybko wyszedł z samolotu. Widać było, że jest wściekły.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - łagodnie spytała Toni.

Paul ciężko westchnął i zamknął oczy. Przez chwilę leżał bez ruchu.

- Przez całe życie - wydusił wreszcie z siebie - wszyscy musieli na mnie uważać. Oczekiwali, iż zaraz zachoruję i że będą ze mną kłopoty. Na gimnastyce nie wolno mi było robić tych samych ćwiczeń co wszyscy, na szkolnych wycieczkach też byłem balastem. Zawsze któryś z nauczycieli musiał mnie pilnować, podczas gdy inni świetnie się bawili. Czy wiesz - Paul otworzył oczy i spojrzał na Toni - że ta podróż do Afryki to pierwsza wyprawa, podczas której nie dokucza mi astma? Wszyscy spodziewali się, iż zaraz będę miał atak, a tu nic! Byłem taki zadowolony, że nie sprawiam kłopotów! No a potem odkryłem tę ranę. Postanowiłem, że nic o tym nie powiem. Miałem nadzieję, że samo się zgoi. Rozumiesz mnie?

Paul spojrzał na nią błagalnie. Zdjął z nosa okulary. Teraz wydawał się bardzo miody i bezbronny.

- Rozumiem cię, Paul - spokojnie odpowiedziała Toni.  
- Potrafię zrozumieć, co czułeś, ale jednak powinieneś być nam powiedzieć. Jeśli nawet nie zdecydowałaś się od razu, należało to zrobić, gdy noga zaczęła puchnąć.

- Pewnie masz rację - mruknął niechętnie, przyglądając się, jak Toni przygotowuje opatrunek.

Po kilku minutach powrócił Jack, niosąc w puszcze po zupie gorącą wodę. Zapomniał już o gniewie. Kucnął koło Paula, ponownie zbadał ranę i przemył ją gruntownie roztworem odkażającym.

- Nic więcej nie mogę zrobić - powiedział wreszcie, gestem wskazując Toni, aby opatrzyła ranę.

Gdy skończyli, wyszli na zewnątrz.

- Posocznica jest pewna - oznajmił Jack, gdy Paul już nie mógł ich usłyszeć.

Hilary, która właśnie wróciła z kolejnej wycieczki do latryny, usłyszała jego słowa.

- Nic nie możecie na to poradzić? - spytała niespokojnie.

- Moglibyśmy, gdybyśmy mieli antybiotyki - odrzekł Jack. Jego głos zdradzał niepokój.

- A bez? - Hilary spojrzała w kierunku samolotu,

- Twoja ocena jest równie dobra, jak nasza - odpowiedziała jej Toni.

- Jack! - przerwał im okrzyk Williama, który pilnował ogniska. Był rozebrany do pasa. Jego spocona skóra lśniła w słońcu. - Musimy pomyśleć o czymś do jedzenia.

- Masz jakieś propozycje? - spytał Jack.

- Jeśli weźmiemy rewolwer, może uda się nam upolować antylozę.

Hilary zgięła się wpół i odwróciła w drugą stronę. W tym momencie Ruth wygramoliła się z samolotu i pośpiesznie podeszła do nich.

- Lepiej chodźcie szybko do samolotu - powiedziała, spoglądając na zmianę na Jacka i Toni.

- Paul? - spytała Toni.

- Nie, Lutas. Myślę, że jego stan się pogorszył - wymamrotała.

Nie tracąc więcej czasu, Toni podążyła za Jackiem do samolotu. Lutas leżał blisko drzwi do kabiny pilota, za prowizorycznym parawanem. Na szczęście był nieprzytomny i nie czuł bólu. Jack zbadał go i zmienił opatrunki. Gdy to robił, Toni wyczuła słaby, lecz wyraźny odór.

W tym momencie Jack podniósł głowę. Bez słowa patrzyli sobie w oczy. Oboje myśleli o tym samym. Groźne słowo „gangrena” wisiało w powietrzu, lecz żadne z nich nie powiedziało go na głos.

Jack nagle wstał i gestem wskazał Toni, aby poszła za nim. Zerwała się z klęczek i w tym momencie dostała zawrotów głowy. Chwyliła za poręcz fotela i przez kilka sekund stała, chwiejąc się na nogach i czekając na odzyskanie równowagi.

Zauważył, że nie idzie za nim. Przystanął i spojrzał przez ramię.

- Co się stało? - spytał niespokojnie.

- Nic. Zakręciło mi się w głowie, to wszystko. Pewnie z głodu. Już minęło.

- Jesteś pewna? - Jack był wyraźnie zatroskany stanem jej zdrowia. Toni spuściła oczy.

- Tak, możesz się o mnie nie martwić. Nie będziesz mnie miał na głowie. Jak tylko zjem stek z antylopy, natychmiast odzyskam siły - spróbowała zażartować.

Jack nie wydawał się przekonany, ale zrezygnował z dalszych pytań. Ruszyła za nim.

- Co zamierzasz zrobić? - spróbowała zmienić temat.

- Myślę o Lutasie.

- Prawdę mówiąc... - zaczął, ale zawahał się i urwał. Toni czekała, domyślając się, co zaraz usłyszy. - Powinienem amputować zmiążdżoną nogę - dokończył, potwierdzając jej podejrzenia.

- Mogę ci pomóc...

- Wiem. - Spojrzał na nią. - Łaska boska, że jesteś tu ze mną - powiedział tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć. - Nie jestem jednak pewien, czy Lutas wytrzymałby operację. Nie mamy już morfiny. Zostało tylko trochę środków do miejscowego znieczulenia.

- • Co zatem zrobimy? - Toni była bliska rozpacz.

Jack przez chwilę milczał, tak jakby zastanawiał się nad różnymi możliwościami. W końcu podjął decyzję.

- Na razie nic - powiedział. - Miejmy nadzieję, że gangrena nie będzie się rozszerzać. Na amputację zdecydujemy

się tylko w ostateczności. Lepiej módlmy się, żeby pozostał nieprzytomny - dodał ponuro. - Jeśli się ocknie, będzie strasznie cierpiało.

- Boże, Jack, co my zrobimy? - Toni czuła, że zaraz się rozpłaczę.

- Musimy zachować spokój - odparł, ujmując jej dłonie. - Za wszelką cenę musimy zachować spokój... - powtórzył, uważnie się jej przyglądając. - Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Bardzo pobladłaś.

- Tak, tak, nic mi nie jest - potwierdziła, choć w rzeczywistości czuła się fatalnie. Bolała ją głowa i w dalszym ciągu miała zawroty.

- Może lepiej usiądź i odpocznij. - Jack wziął ją za rękę i pociągnął do samolotu.

- Nie mogę - zaprotestowała. - Muszę zająć się Pauliem... i Lutasem.

- Ruth popilnuje Paula, a ja Lutasa - uspokoił ją. - Koniec dyskusji, masz się położyć i odpocząć.

Toni zaniechała dalszych protestów. Dowlokła się do swojego fotela w samolocie, skuliła na nim i zamknęła oczy. Wolą na chwilę zapomnieć o wszystkich problemach, nad którymi stopniowo przestawali panować.

Wciąż bolała ją głowa. Choć miała zamknięte oczy, światło w kabinie wydawało się jej nieznośnie jaskrawe. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że widzi setki kolorowych fajerwerków. Później znów zrobiło się ciemno i zimno. Toni trzęsała się z zimna. Bolały ją wszystkie kości. Nagle poczuła, że jakieś niewidzialne ręce unoszą ją w górę, do światła. Krzyczała z przerażenia, ale nikt nie przyszedł jej z pomocą.

A potem znalazła się w ogrodzie. Wokół widziała gepardy i pantery, wesoło igrające z jagniętami i szczeniakami; wspaniale upierzone ptaki uwijały się na niebieskim niebie,

a trzepot ich skrzydeł przypominał Toni dźwięki wielkiej orkiestry.

Słyszała jakieś głosy i szepty. W pewnej chwili rozpoznała głos Jacka, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Wyciągała do niego ramiona, lecz on ciągle pozostawał nieco za daleko.

Nagle pojawiła się Hilary i próbowała jej pomóc, zachęcając szeptem do wytrwania.

Raz udało się jej otworzyć oczy. Zobaczyła nad sobą ciemną twarz Diaki i jej ogromne oczy, teraz wypełnione łzami.

Po chwili znów ogarnęły ją ciemności, którym teraz towarzyszyło gorąco. Toni miała wrażenie, że znalazła się w piecu. Desperacko walczyła z demonami, które chciały ją wciągnąć do piekła.

Czuła, że ktoś ją podtrzymuje. Odnosiła wrażenie, że znalazła się gdzieś, gdzie już kiedyś była. Ktoś podsunął jej kubek wody. Z trudem przełknęła kilka łyków. Gardło wyschło jej na wiór. Gdy już nie mogła więcej, woda wyciekła jej kącikiem ust i spłynęła na szyję.

Ktoś delikatnie wytarł gąbką jej twarz, odgarnął włosy z czoła, podobnie jak czyniła to matka, gdy Toni była małą dziewczynką.

Potem znów ogarnęły ją ciemności. Tym razem jednak demony już jej nie prześladowały; po prostu zapadła w sen i zapomniiała o wszystkim.

Jak przez mgłę usłyszała jakieś krzyki, a potem głośny warkot, od którego pękała jej głowa. Kręciły się nad nią jakieś ciemne kształty. To pewnie sępy przybyły wreszcie po swój łup, pomyślała. Krzyknęła, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Coś uniosło ją w górę, w kierunku palącego słońca.

Warkot jeszcze się wzmógł. Ciemne kształty teraz wydawały się jeszcze większe, a głosy jeszcze bardziej natrętne.

Toni spróbowała zacisnąć powieki. Za wszelką cenę pragnęła, by to wszystko już się skończyło. Ktoś powiedział, że sępy rozdziobią trupy... Kto to powiedział? Nie mogła sobie przypomnieć. Na próżno usiłowała się skupić.

Warkot zmienił się w równy pomruk. Słyszała teraz płacz niemowlęcia; najwyraźniej płakało z głodu. Pomyślała, że pewnie jest w szpitalu, na oddziale położniczym. Dlaczego jednak centralne ogrzewanie tak głośno pracuje? I dlaczego nikt jeszcze nie nakarmił tego dzieciaka?

Nagle wydało się jej, że jest w jakimś wysokim pomieszczeniu, przypominającym katedrę. Dobiegł do niej naturalnie brzmiący głos, przemawiający po angielsku z silnym afrykańskim akcentem. Któż to mógł być?

Wokół niej pojawiły się jakieś postaci w białych i zielonych fartuchach. Usłyszała wycie syren. Później ogarnął ją spokój. Zapadła w nicość.

Toni otworzyła powieki i obróciła głowę. Było widno, lecz nie tak jasno, jak się tego spodziewała. Za oknem widziała nagie gałęzie drzew na tle szarego nieba.

To dziwne, takie szare niebo... Dotychczas zawsze było niebieskie lub białe, rozpalone jaskrawym słońcem. A to drzewo... Niczym nie przypominało akacji. Wyglądało raczej na kasztanowca, na którym pozostało kilka starych liści.

Zmarszczyła brwi i spróbowała unieść głowę. Skrzywiła się z wysiłku. Bolał ją kark i czuła się bardzo słabo.

Leżała na łóżku w jakimś niewielkim pokoju. Umywalka, biały parawan i nocny stolik sugerowały, że jest w szpitalu.

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka, rozpraszając tym samym jej wątpliwości. Była to młoda Murzynka. Gdy zobaczyła, że Toni jest przytomna, uśmiechnęła się do niej serdecznie.

- Dzień dobry - powiedziała.
- Dzień dobry. - Toni zdobyła się na uśmiech. Spróbowała usiąść, ale tylko jęknęła z wysiłku.
- Spokojnie i powoli - odezwała się siostra. - Długo nie mogła pani odzyskać przytomności - dodała, po czym pomogła jej usiąść i podparła ją poduszkami.
- Co mi jest?
- Nie wiem, ale doktor zaraz tu będzie.
- Kto nas odnalazł?
- Odnalazł? - zdziwiła się pielęgniarka. Na chwilę przestała krzątać się po pokoju. - Co pani ma na myśli?
- Byliśmy w buszu... katastrofa samolotu...
- A, tak, coś słyszałam - odpowiedziała niedbale dziewczyna.
- Kto zatem nas uratował? - Toni patrzyła na siostrę ze zdziwieniem. Nie mogła zrozumieć jej obojętności.
- Bardzo przepraszam, ale dopiero niedawno zaczęłam dyżur. Byłam na urlopie i naprawdę nie znam żadnych szczegółów. Będzie pani musiała zapytać doktora.
- Doktora? - Serce Toni zabiło mocniej. - Doktora Christy?
- Nie ma tu nikogo o takim nazwisku. - Pielęgniarka zmarszczyła czoło.
- Ale on był z nami... w buszu.
- Och, rozumiem. On tu nie pracuje?
- Nie, kieruje szpitalem w Jabhati.
- Gdzie to jest?
- Jabhati... Musiała pani słyszeć o tej osadzie. - Toni z trudem opanowała zniecierpliwienie. - To w Tanzanii.
- Przykro mi, ale nigdy nie lubiłam geografii. - Dziewczyna zaśmiała się i pokręciła głową.
- Skąd zatem pani pochodzi? - spytała Toni. Zamknęła oczy. Była zmęczona rozmową, ale miała do zadania jeszcze tyle pytań.

- Ja? Z Birmingham. - Pielęgniarka poprawiła kołdrę.
- Czy chciałaby pani napić się herbaty?
  - Birmingham? Skąd zatem wzięła się pani w Nairobi? Siostra miała już wyjść, ale zatrzymała się w progu i spojrzała na nią zupełnie zaskoczona.
  - Jak to w Nairobi? Nigdy tam nie byłam. Toni przez chwilę patrzyła na nią ze zdziwieniem.
  - Gdzie ja właściwie jestem? - spytała wreszcie.
  - Jak to gdzie? W szpitalu.
  - Wiem, ale gdzie jest ten szpital. Sądziłam, że jestem w Nairobi...
  - Nairobi? Jest pani w Londynie!
- Toni opadła na poduszki. Dziewczyna roześmiała się i wyszła na korytarz. W tym momencie o szyby zadudniły krople deszczu, rozpraszając ostatnie wątpliwości Toni.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Londyn? Na litość boską, kiedy się tu znalazła? Gdzie są pozostali? Co się stało z Lutasem? Z Paulem? Czy również są w tym szpitalu?

No i Jack. Gdzie jest Jack?

Toni zamknęła oczy. Myślenie było dla niej zbyt wielkim wysiłkiem. Poczuła jeszcze, że po policzkach spływają jej łzy, po czym zasnęła.

Gdy się obudziła, w drzwiach pokoju zobaczyła pielęgniarkę. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej.

- Ma pani gościa - powiedziała. - Czy czuje się pani na siłach, by porozmawiać?

Gość? Może to Jack? Oby tak było. Toni spróbowała usiąść, ale zaraz opadła na poduszkę.

Pielęgniarka uznała tę próbę za oznakę zgody. Usunęła się na bok, aby wpuścić kogoś do pokoju.

W drzwiach stanęła Hilary, ubrana w szpitalny szlafrok i kapcie.

- Witam na naszym świecie. - Uśmiechnęła się do niej.

- Hilary! - Toni poczuła w oczach łzy wzruszenia. - Dzięki Bogu, że jesteś. Już zaczęłam myśleć, że zwariowałam.

- Byłaś bardzo poważnie chora. - Hilary usiadła na krześle obok łóżka.

- A ty? - spytała Toni, przyglądając się jej toalecie.

- Och, nic tak efektownego. Zwykła biegunka. Dzisiaj

wychodzę ze szpitala. Natomiast ty... Jack bardzo się o ciebie niepokoił.

- Jack? - Toni spojrzała na nią. - Czy on również przyjechał do Londynu?

- Nie, został w Afryce.

- Jak zatem my znalazłyśmy się w Londynie? - Toni poczuła w sercu przykry skurcz. - Kto nas uratował? Co się stało?

- Spokojnie, nie tyle pytań naraz! - zaśmiała się Hilary.

- Przepraszam, ale mam takie luki... Nic nie pamiętam.

- W końcu odnalazł nas patrol wojskowy na helikopterze.

Ci sami, których przedtem widzieliśmy. Tym razem dostrzegli dym z ogniska. Zabrali nas prosto do szpitala w Nairobi.

- Co z innymi?

- O ile wiem, Lutas i Paul leżą na chirurgii w Nairobi.

Ruth i Henry zostali zwolnieni po badaniach. Nie wiem, co z Williamem.

- A Diaka?

- Jack zabrał ją do Jabhati.

- Dlaczego zatem my dwie jesteśmy w Londynie?

- zdziwiła się Toni.

- Sama chciałam wracać.

- A ja? Jak się tu znalazłam? Przecież mam pracować w Jabhati.

- Jack kazał cię zawieźć do Londynu - wykrztusiła Hilary z pewnym zakłopotaniem.

- Jak to: „Jack kazał”?

- Przykro mi, Toni, ale naprawdę nie znam szczegółów.

Sama czułam się wyjątkowo podle. Słyszałam tylko, jak Jack rozmawiał z kimś w szpitalu w Nairobi i nalegał, aby wysłali cię do Londynu. Wtedy zdecydowałam się wracać z tobą. Może chcesz, abym kogoś zawiadomiła, że tu jesteś? - Hilary wstała z krzesła.

- Jak długo już tu jesteśmy?

- Cztery dni.
- Cztery dni!
- Już ci mówiłam, że byłaś poważnie chora. - Hilary pokiwała głową. - Jack podejrzewał malarię.
- Malarie? - zdziwiła się Toni. - Skąd?! Zawsze pilnie łykałam tabletki antymalaryczne. Prócz tego w Tanzanii nie ma moskitów.
- Za to w Nairobi ich nie brakuje. Pamiętasz, jak ogańaliśmy się od nich na lotnisku?
- Zapomniałam...
- Nie martw się, o ile wiem, badania wypadły negatywne. To pewnie jakiś bliżej nieznaną wirus lub bakteria. Wcale mnie to nie dziwi. Bóg wie, co było w tej wodzie, nawet po gotowaniu. To tylko dowodzi, jak ważna jest Fundacja Wodnej Pomocy, nie sądzisz?
- Hilary na chwilę urwała.
- Pytałam, czy mam kogoś zawiadomić o twoim losie.
- Toni opuściła powieki. Jack. Chciałaby go zobaczyć. Niestety, został w Afryce. Odesłał ją do Anglii. Nie chciał, aby z nim pracowała. Nigdy nie chciał, aby tam była.
- Co z twoją mamą, Toni?
- Z mamą?
- Tak. Na pewno się martwi.
- Wyjechała do Australii odwiedzić siostrę.
- Och, rozumiem. - Hilary zacisnęła pasek od szlafroka. - Może mogłabym zawiadomić kogoś innego?
- Nie, dziękuję. - Toni ze znużeniem pokręciła głową.
- No, dobra, idę się przebrać. Wstąpię później, żeby się pożegnać. Myślę, że zatrzymają cię tu jeszcze kilka dni, aż dojdiesz do siebie. - Urwała i przez chwilę przyglądała się jej uważnie. - Co ci jest, Toni? Co się stało?
- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Po prostu jestem chora.
- Toni wyciągnęła z pudełka chusteczkę i wytarła nos.
- To wszystko.

- Nie, to jeszcze nie wszystko. Jesteś nieszczęśliwa, dlatego płaczesz.

Toni nic nie odpowiedziała. Coś ścisnęło ją w gardle. Bała się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Hilary przez chwilę wahała się, tak jakby nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- To przez Jacka, prawda? - powiedziała cicho.

Toni zacisnęła powieki. Nie mogła się zdobyć na spojrzenie jej w oczy.

- Jesteś w nim zakochana, prawda?

Nie mogła zaprzeczyć. Przedłużająca się cisza potwierdzała tę sugestię. Hilary usiadła na brzegu łóżka i uścisnęła jej dłoń.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - spytała łagodnie.

Toni otworzyła oczy. Wyraz współczucia na twarzy Hilary zupełnie ją rozbroił.

- Nie ma o czym opowiadać - wykrztusiła, z trudem przełykając ślinę. - Jak sama wiesz, to nie może do niczego doprowadzić.

- Próbowałam cię ostrzec.

- Wiem! - wykrzyknęła Toni. - Wiem, że próbowałaś - powtórzyła spokojniej, po czym bezradnie wzruszyła ramionami. - Nie mogłam nic na to poradzić.

- To rzeczywiście bardzo pociągający mężczyzna. I taki niezwykle - przyznała Hilary.

- Prócz tego należy do innej kobiety - dodała Toni, starając się opanować rozgoryczenie.

- Ach, ta cudowna Shakira - uśmiechnęła się Hilary. - Ciekawa jestem, jak ona wytrzymałaby w takich warunkach.

- Bóg raczy wiedzieć..- Toni znów wzruszyła ramionami, tak jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Wiesz... - Hilary wahała się przez chwilę. - Bardzo zaimponowałaś Jackowi swoim zachowaniem.

- Trudno mi w to uwierzyć. Nie zapominaj, że nigdy nie chciałam, abym z nim pracowała.

- To prawda, ale myślę, że zmusiłaś go, aby wszystko odszukał. Pokazałaś, ile jesteś warta.

- I dlatego jak najszybciej odesłał mnie do domu.

- Może po prostu martwił się o ciebie... - Hilary zamilkła pod miazdzącym spojrzeniem Toni.

- Według mnie muszę pogodzić się z faktem, że nie pojedę już do Jabhati.

- Nie chcesz tam jechać?

- Nie. - Toni pokręciła głową. - Poproszę o skierowanie w inne miejsce. Może do Tybetu lub Mongolii. Byle daleko od Londynu i Afryki.

Jak mogłabym wrócić do Jabhati? - pomyślała Toni, gdy Hilary wyszła z pokoju. Nawet jeśli Jack chciał, aby wróciła, co wydawało się jej bardzo wątpliwe, jak mogłaby pracować z nim na co dzień, być z nim niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, może nawet obserwować jego małżeństwo z Shakirą? To byłoby dla niej nie do zniesienia.

Hilary miała rację, ostrzegając ją, że nie powinna angażować się uczuciowo w związek z Jackiem Christym. Jak mogła być taką idiotką?

Poza tym, czy rzeczywiście tak łatwo można było domyślić się jej uczuć? Skoro Hilary odgadła, co ona przeżywa, inni pewnie byli równie spostrzegawczy. A sam Jack - czy on również wiedział? Czy starał się rozbudzić jej uczucie? Przecież ją pocałował. Co z tego wynika? Jakie znaczenie miała ich wspólna wyprawa do wodopoju? Czy to tylko magia Afryki? Czy jego zachowanie wynikało tylko z okoliczności, w jakich się znaleźli? Czy w takiej sytuacji traktowałyby każdego w taki sam sposób jak ją?

Chyba tak.

Odwróciła się twarzą do ściany. Wiedziała, że musi się z tym pogodzić.

A jednak... a jednak... W głębi duszy nie mogła przestać myśleć, że w tym pocałunku było coś ważnego... namiętność i zaskakująca czułość... Wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie o nim zapomnieć.

W ciągu kilku następnych dni Toni stopniowo wracała do zdrowia i odzyskiwała siły. Zadzwoiła do mamy w Australii, aby ją zapewnić, że jest bezpieczna i dobrze się czuje. Gazety opisywały tę katastrofę i Toni wiedziała, że matka z pewnością nie może doczekać się wiadomości.

Lekarz szpitalny powiedział jej, że jeśli kolejna seria badań wypadnie pomyślnie, to zostanie zwolniona. Jego zdaniem powinna pojechać na co najmniej miesięczne wakacje.

- Na miesiąc? - Toni spojrzała na niego ze zdumieniem. - Czemu? Czuję się zupełnie dobrze.

- Była pani poważnie chora - stanowczo odrzekł lekarz. - Takie tropikalne choroby są bardzo złośliwe i często zdarzają się nawroty. Zdecydowanie radzę pani wyjazd na długi urlop. Potrzebny jest pani odpoczynek w jakimś spokojnym miejscu.

- Może pojadę na safari? - zażartowała Toni.

- To absolutnie wykluczone. - Lekarz najwyraźniej nie miał poczucia humoru. Zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- Mój kuzyn ma domek letniskowy w Północnej Walii - westchnęła Toni.

- To znacznie rozsądniejszy pomysł.

- Zadzwonię do niego.

Wcale nie miała ochoty tam jechać. Północna Walia jesienią to dość ponure miejsce, o czym dobrze wiedziała. Jeździła tam często w dzieciństwie. Domek kuzyna znajdował się w górach, na skraju wsi Beddgelert, w pobliżu Snowdonii.

Dotarła tam niemal o zmroku, ale ponieważ przedtem zawiadomiła o przyjeździe sąsiada, ten zawczasu włączył ogrzewanie.

Zasnęła bez kłopotów i obudziła się, gdy blade słońce oświetliło różowe róże na tapecie. Wzięła prysznic, ubrała się i poszła do wsi, odległej o półtora kilometra, gdzie kupiła gazety i coś do jedzenia. Po powrocie do domu zjadła bez pośpiechu śniadanie i przeczytała prasę. Resztę dnia spędziła na czytaniu i spacerach, czemu sprzyjała piękna pogoda. Czuła, jak z każdą chwilą wracają jej siły.

Podobnie wyglądały następne dni. Toni niemal z nikim nie utrzymywała kontaktów. W domku nie było telefonu, a poza codziennymi spacerami do wsi, nie miała okazji do rozmowy.

Napisała do matki; chciała zrelacjonować jej wypadek, ale wspomnienia okazały się jeszcze zbyt świeże i zbyt bolesne. Musiała przerwać pisanie i wyjść na spacer. Teraz jej uczuć nie tłumiły już ani lekarstwa, ani gorączka.

Czwartego dnia po południu wybrała się na długi spacer górskim szlakiem wiodącym wokół wsi. W górach nie było niemal nikogo, mogła więc się cieszyć ich pięknem i majestatycznym spokojem.

Po powrocie zaparzyła sobie herbatę i wyciągnęła się na leżaku w ogrodzie zimowym z tyłu budynku. Kuzyn zbudował go zaledwie rok temu. Teraz mieszkańcy mogli podziwiać widok na dolinę nawet wtedy, gdy było zbyt zimno, aby wyjść na zewnątrz.

W ogrodzie było bardzo ciepło. Toni objęła dłońmi kubek i powoli popijała herbatę.

Słyszeć było tylko szczekanie wiejskich psów i odgłos przelatującego wysoko samolotu. Toni postawiła kubek na podłodze i zaniknęła oczy.

Jak inne jest słońce w Anglii i w Afryce! Trudno uwierzyć, że to jedno i to samo słońce. Wciąż słyszeć było

szczekanie psa we wsi. Toni miała wrażenie, że słyszy śmiech hieny.

Słońce wydawało się świecić coraz mocniej. Czerwone i złote światło wypełniło cały ogród.

Szum samolotowych silników brzmiał teraz jak ryk lwów z daleka omijających obóz. Odniosła wrażenie, że słyszy trzask ogniska.

Gdyby otworzyła oczy, z pewnością zobaczyłaby, jak William dokłada gałęzi do ognia. Henry na pewno wymachuje siekierą, a Diaka karmi dziecko. Czy jest tam również Jack? Toni pomyślała, że gdyby skoncentrowała się dostatecznie, pewnie mogłaby wrócić do tamtych dni i znów poczuć wokół siebie ramiona Jacka.

Zasnęła. I znowu znalazła się w Afryce. Była w samolocie, ale teraz lecieli jeszcze nad sawanną. Usłyszała głos Lutasa.

- Patrzcie! - krzyczał. - To gnu! Patrzcie, jak biegną! To właśnie jest Afryka!

Gdy się obudziła, było znacznie chłodniej. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami. Nie chciała wracać do rzeczywistości. Wołała nie myśleć, że to wszystko już się skończyło i pora rozpocząć normalne życie. Z pewnością pozostali woleli zapomnieć o tym, co przeżyli.

Toni sama nie wiedziała, kiedy poczuła, iż coś się zmieniło, że coś w jej otoczeniu wygląda inaczej niż poprzednio.

Otworzyła oczy. Słońce już niemal schowało się za horyzontem i całą dolinę wypełniała fioletowa mgła.

Powoli obróciła głowę.

Na drugim leżaku siedział Jack i uważnie się jej przyglądał.

Nawet się specjalnie nie zdziwiła, zapewne uznając, że przyszedł tu do niej z jej snu. To było oczywiste, że Jack nagle znalazł się na leżaku obok niej.



- Cześć - powiedział ze swym charakterystycznym uśmiechem. Toni dobrze go pamiętała.
- Cześć - odrzekła. Powoli wracała do pełnej przytomności. - Jak mnie tu znalazłeś?
- Z dużym trudem - skrzywił się. - Czy celowo próbowałaś się ukryć?
- Bynajmniej. Lekarz powiedział, że powinnam pojechać na wakacje. Zasugerowałam safari, ale on nie uznał tego za rewelacyjny pomysł.
- Tu jest niemal równie wspaniale. - Jack pochylił się do przodu. - Fantastyczny widok.
- To prawda. - Toni nagle się ocknęła. Co on tu właściwie robi? Dlaczego tu przyjechał? Przecież powinien być w Jabhati. - Jak zatem mnie znalazłeś?
- Udało mi się odszukać Hilary. Powiedziała, że z pewnością zadzwonisz do niej przed wyjazdem i obiecała przekazać mi adres. - Urwał. - Początkowo nie była pewna, czy powinna zdradzić mi ten sekret - dodał po krótkiej chwili.
- Tak? - Toni przełknęła ślinę.
- Tak. Zapowiedziała mi stanowczo, abym cię nie denerwował i nie sprawiał ci przykrości. Jak myślisz, dlaczego, jej zdaniem, mógłbym sprawić ci przykrość?
- Nie mam pojęcia. - Toni usiłowała zachować spokój. Gdy zerknęła na niego, dostrzegła w jego szarych oczach wesołe błyski. Szybko odwróciła wzrok.
- Powiedziałem jej, iż nie zamierzam cię denerwować i że bardzo się o ciebie martwię.
- Dlaczego zatem odesłałeś mnie do Anglii?
- Ponieważ sądziłem, że masz malarię i chciałem, abyś leczyła się w możliwie najlepszych warunkach. - Zmarszczył brwi. - A co ty o tym myślałaś?
- Sądziłam, że nie chcesz, abym z tobą pracowała - mruknęła naburmuszona.

- Och, Toni. - Jack westchnął. - Wierz mi, że zupełnie się mylisz.

- Przecież na początku sam to powiedziałeś. Uważałeś, że jako kobieta nigdy nie dam sobie rady w afrykańskich warunkach.

- Nigdy nie wątpiłem w twoje zawodowe kompetencje...

- Może i nie... ale nie wierzyłeś, iż zdołam wytrzymać... - Toni urwała. Ze zgrozą zauważyła, że zbiera się jej na płacz. - Teraz już wyszło na twoje, prawda?

- Jak to?

- Okazało się, że nie jestem dość wytrzymała, aby pracować w Afryce. Padłam wskutek ukąszenia byle komara... - Gniewnym ruchem wytarła łzy z policzków. - Co więcej, najwyraźniej nie potrafiłam niczego dobrze zrobić...

- Moja droga. - Jack pochylił się ku niej i ujął ją za rękę. - To nie byt byle komar, ale złośliwy wirus, który mógł cię zabić. Na dodatek przeżyłaś wyjątkowo ciężkie dni...

- Podobnie jak pozostali.

- Tak, ale ty wzięłaś na siebie znacznie większą odpowiedzialność niż tamci. Pomogłaś podtrzymać morale i bez wątpienia dowiodłaś swej wytrzymałości.

- Doprawdy? - Toni spojrzała mu w oczy, ale zaraz odwróciła wzrok. Nie wiedziała, jak ma zareagować na wyraz jego twarzy. - W dalszym ciągu nie rozumiem, co cię tu sprowadza. Hilary powiedziała mi, że pojechałeś do Jabhati.

- To prawda. Zawiozłem Diakę do domu.

Na wzmiankę o Diace Toni natychmiast podniosła głowę.

- No i co? - spytała niespokojnie. - Jak ją przyjęła rodzina? Jak się ma dziecko?

- Rodzice byli tak uszczęśliwieni jej powrotem, że przyjęli ją z otwartymi ramionami.

- A dziecko?

- Podejrzewam, że na całym świecie dziadkowie są podobni - zachichotał Jack. - Gdy byłem tam przed wyjazdem, na scenie pojawił się znów ten chłopak. Mają się pobrać.

- To dobra wiadomość.

- Skoro już mowa o Diace... - Jack urwał i dziwnie na nią spojrział. - Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś wiedzieć.

- Tak? - Toni zauważyła na jego ustach dziwny uśmiešek.

- Nazwała swoją córkę Antoinette. Chciała, żebym ci powiedział.

Toni zarumieniła się z radości.

- To chyba najlepszy dowód wdzięczności, jaki mogła okazać. W ten sposób chciała ci podziękować.

- No cóż, z pewnością tego porodu nigdy nie zapomnę.

- Wątpię, by ktokolwiek z nas zapomniał o tym wypadku. - Jack westchnął i znów spoważniał. - W każdym razie nie Lutas.

- Lutas? - Toni spojrzała na niego niespokojnie. - Co się z nim stało? Wiem tylko, że został skierowany na chirurgię.

- Stracił lewą nogę - spokojnie wyjaśnił Jack.

Toni poczuła rozgoryczenie. Ich wszystkie wysiłki poszły na marnotrawienie.

- W każdym razie przeżył - dodał Jack, trafnie odczytując jej myśli.

- Nie potrafię sobie wyobrazić kalekiego Lutasa. - Ze smutkiem pokręciła głową.

- Lutas, jak to on, jakoś sobie poradzi.

Przez chwilę milczeli. Oboje myśleli o dzielnym pilocie.

- A co z Paulem? - przypomniała sobie Toni.  
- Tak jak podejrzewaliśmy, posocznica.  
- Och, Boże, tylko nie to. Wyzdrowiał?  
- Tak, ale niewiele brakowało. W szpitalu napompowali go antybiotykami. O ile wiem, powoli dochodzi do siebie.

- A pozostali? Ruth, Henry, William?  
- Ruth i Henry kilka dni temu polecili do domu. Ruth będzie musiała zaliczyć fizjoterapię. Zadzwoiłem do niej po przybyciu do Londynu. Ma już zarezerwowany bilet do Kanady. Leci pierwszą klasą - dodał ironicznie. - Henry musi iść do kardiologa. Prawdopodobnie przejdzie na wcześniejszą emeryturę. A William? - Jack przerwał na chwilę. - Poleciał do Harare.

- On jeden uniknął wszelkich obrażeń - zauważyła Toni.

- Nie całkiem - powoli rzekł Jack.  
- Co masz na myśli?  
- Gdy dotarł do Harare, jego matka już nie żyła. Zmarła sześć godzin przed jego przyjazdem.

- Och, Jack, to okropne. Biedny William...

Toni przypomniała sobie postać wysokiego, poważnego Murzyna, który często zaskakiwał ją szerokim uśmiechem. Oczami wyobraźni widziała, jak dokłada gałęzie do ogniska, stoi w drzwiach samolotu z Lutasem w ramionach i wbiega na polanę, unosząc z tryumfem kanister z wodą.

Po kilkunastu sekundach znów spojrzała na Jacka. Trzymał jej dłonie, ale odwrócił głowę i patrzył gdzieś w dal.

Powoli cofnęła ręce i odgarnęła mu włosy z czoła, odsłaniając czerwoną bliznę.

- Ładnie się goi - powiedziała cicho.  
- Dzięki tobie - odparł Jack. - Gdyby nie ty, zostałyby paskudna szrama.

- Widzę, że już usunąłeś szwy.

Kiwnął głową.

- Już zaczęłam myśleć, że przyjechałeś tu w tym celu  
- uśmiechnęła się Toni. - Żebym skończyła to, co zaczęłam.

- Masz rację - zgodził się. - Przyjechałem właśnie po to, żebyś skończyła to, co zaczęłaś. To jednak nie ma nic wspólnego z cięciami i szwami.

- Doprawdy? - Toni uniosła brwi. Czekwała na jakieś wyjaśnienie, ale już teraz jej serce przyspieszyło swój rytm.

- Myślę, Toni, że wiesz, o czym mówię.

- Tak?

- Zostawmy te gierki. - Spojrzał jej w oczy. - Podczas tych kilku dni przeżyliśmy razem wiele ciężkich chwil i doszedłem do wniosku, że ci na mnie zależy.

Toni usłyszała gwałtowne bicie swego serca. To było szaleństwo. Milczała, czekając, co on powie.

- To było unikalne zdarzenie - ciągnął Jack - ale dzięki niemu dowiedziałem się wiele o sobie.

- Mianowicie? - szepnęła.

- Czyżbym się mylił, Toni? - spytał. - Czy nie miałem racji, sądząc, że zależy ci na mnie?

- Jeśli nawet, cóż z tego? - spytała tonem świadczącym o przeżywanej udźce. - Cóż z tego może wynikać?

- Czy zatem potwierdzasz moje domysły? - W oczach Jacka pojawiły się iskierki nadziei.

Toni nagle zerwała się z leżaka. Wstała i oparła rękę o parapet. Jack patrzył na nią zupełnie zaskoczony.

- Co ty próbujesz osiągnąć, Jack?! - krzyknęła.

- Chcesz mnie zmusić, abym przyznała, iż cię kocham? Dobrze wiesz, że z tego nic nie będzie. Czy przyjechałeś tutaj, aby mnie torturować? Czy moje wyznanie sprawi ci sadystyczną radość?

Splotła nerwowo palce. Jack w dalszym ciągu przyglądał się jej ze zdumieniem.

- Do licha, o czym ty mówisz? Dlaczego nie mielibyśmy być razem? - spytał z jawnym zdziwieniem.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. W tej chwili kochała go i nienawidziła równocześnie. Jak mógł sprawiać jej tyle bólu?!

- Na litość boską, Jack, czy mam ci to wytłumaczyć? - jęknęła z rozpaczą w głosie.

- Tak, byłbym z tego bardzo zadowolony.

- Sądzę, że fakt, iż jesteś zaręczony, ma tu jakieś znaczenie.

Patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Ach, chodzi ci o Shakirę - westchnął wreszcie.

W tym momencie za horyzontem zniknął ostatni skrawek słońca.

- Tak, o Shakirę.

- Nie jesteśmy już zaręczeni - powiedział spokojnie.

- Co takiego? - zdziwiła się Toni.

- Zerwaliśmy ze sobą podczas ostatniej nocy w hotelu Jacaranda.

- Ależ... Hilary mówiła...

- Tak? - Jack uniósł ironicznie brwi. - Cóż takiego mówiła Hilary?

- Powiedziała... powiedziała, że barman zapewnił Paula, iż jesteście już właściwie małżeństwem. Później Ruth widziała, jak czule się żegnaliście... - Toni urwała. W tym momencie zdała sobie sprawę, na jak wątych podstawach opierają się jej domysły.

- Czule się żegnaliśmy? - Jack uśmiechnął się lekko.

- Można to i tak nazwać. Nasz związek trwał dość długo, choć z przerwami. Zawsze będę ją dobrze wspominał; sądzę, że ona mnie również zachowa w pamięci. W końcu jednak zdecydowaliśmy się na zerwanie, bo to nie miało sensu. Od niedawna zrozumiiałem dlaczego. - Wstał i podszedł do niej.

- Dlaczego? - spytała szeptem, wstrzymując oddech.  
- Dlatego, że jej nie kochałem - odrzekł spokojnie.  
- Oczywiście, sądziłem, że jest inaczej, ale się myliłem. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. - Położył dłonie na jej ramionach.  
- To nie mogło do niczego doprowadzić. Oboje pragnęliśmy dla siebie zupełnie czegoś innego. Shakira to kobieta stworzona do życia w luksusie. Ja nie mogłbym tak żyć, ale też nie mogłem wymagać, aby zgodziła się mieszkać ze mną w buszu. Po prostu zupełnie do siebie nie pasowaliśmy i dobrze, że zorientowaliśmy się, nim było za późno. Po zerwaniu obiecałem sobie, że przez dłuższy czas nie zaangażuję się w żaden związek. - Skrzywił się ironicznie. - Teraz wiem, że nie można postanowić, kiedy ktoś ma się zakochać. Miłość chwyta człowieka za gardło i wyklucza wszelki opór.

Wziął ją w ramiona. Toni przytuliła głowę od jego piersi. Teraz czuła się tak bezpieczna, jakby wróciła do domu z długiej, trudnej wyprawy.

- Czy mogę mieć nadzieję, że ty czujesz to samo?  
- spytał głosem pełnym uczucia.

- Och, Jack, oczywiście, że tak. Ja... ja... ja po prostu cały czas bałam się ciebie kochać.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że wiesz, iż byłem zaręczony z Shakirą, a tym bardziej nie sądziłem, że twoim zdaniem ten związek jeszcze trwa. Musiałaś uważać, że jestem ostatnim łajdakiem...

- Skoro o tym mowa... - zaczęła, ale Jack nagle przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Czuły pocałunek stopniowo stawał się coraz bardziej namiętny. Toni czuła, jak budzi się w niej pożądanie. Wiedziała, że on również jest podniecony. To wiele obiecywało.

Gdy wreszcie oderwali się od siebie, oboje spontanicznie odwrócili się do okna i popatrzyli w dół doliny.

- Słońce już zaszło - mruknęła Toni. - Jak sądzisz, czy właśnie wschodzi nad wodopojem?

- Zapewne. Któregoś dnia pojedziemy tam zobaczyć wschód słońca.

- Och, tak. - Toni przytuliła się do niego. - Chcę tam wrócić.

Po zmroku szybko zrobiło się chłodno. Toni zaczęła lekko drżeć.

- Zimno ci. - Jack objął ją ramieniem. - Nie możemy na to pozwolić.

- Co pan radzi, doktorze?

- Znam świetny sposób na przywrócenie właściwej temperatury ciała - mruknął.

- Wiem - odrzekła. - Doskonale go pamiętam.